№ 52 Warszawa, dnia 17 (29) Grudnia 1883 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.—Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Od Redakcyi.

W przyszłym roku 1884, **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Odwołując się w szczegółach do Prospektu oddzielnie wydanego, tu tylko donosimy, że w pierwszem półroczu udzielimy jako **Premium bezpłatne** wszystkim Prenumeratorom piękny **Oleodruk** za granicą przygotowany a mogący w oprawie stanowić ładną ozdobę każdego salonu.

O kosztach przesyłki Oleodruku i opakowania, niewielką wynoszących kwotę, później doniesiemy.

Warunki prenumeraty mieszczą się w każdym numerze pod tytułem.

NA PRZYJACIELA DZIECI

prenumerata wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie. . . . rs. 1 k. 25

Półrocznie . . . . rs. 2 k. 50

Rocznie . . . . . rs. 5

W pierwszym półroczu roku przyszłego 1884, wszyscy Prenumeratorowie otrzymają jako **Premium, piękny Oleodruk bez żadnej dodatkowej opłaty**, jedynie za zwrotem niewielkich kosztów opakowania i przesyłki pocztowej.

Szczegóły co do samego Pisma mieszczą się w Prospekcie oddzielnie wydanym.

NOWY ROK
1884.

Niewiasto polska, ty co od skazy,
Bronisz czci naszej w życiu domowem,
Przyjmij serdecznych życzeń wyrazy
Przy roku nowym.

W czasach gdy ludzie podnieśli waśnie
Nie mogąc uczcić tradycyi starej,
Niech w duszy twojej nigdy nie zgaśnie
Święty blask wiary.

Niech ci kapłanko strzechy rodzinnej,
Pośród żywota zmiennych kolei,
Rozświeci tory w blask dobroczynny,
Gwiazda nadziei.

Jeźli zaś ujrzysz, że już niestałe,
Ognia poświęceń, ciepła ofiary,
Niech zgrzeją duszę twoją zwątpiałą
Miłości żary.

Niech jednem słowem mocą łask Pańskich,
Wiara, nadzieja, miłość na czole
Twojem niewiasto, splotą chrześciańskich
Cnót aureolę!

Ludwik Niemojowski.

BUNT MĘŻCZYZN.

(THE REVOULT OF MAN.)

Przez

p. WALTERA BESANT.

(Dokończenie.)

W bajkach o wieszczkach przytrafia się często, że wszystkie nieszczęścia zaczarowanego księcia czy królewny, wynikają ztąd, że król ojciec lub królowa matka, zapomnieli jakiejś wieszczki zaprosić na chrzciny i tem obudziły jej zemstę.

Przywłaszczycielki pana Waltera Besant, postąpiły jak w bajkach ów król i królowa, zapomniały zaprosić na chrzest swej emancypacyi najpotężniejszej ze wszystkich wieszczek Natury, której wyrokom świat cały posłuszny. Obrońcy praw kobiet umyślnie zaniedbali zasięgnąć jej rady, lękając się, aby odpowiedź jej nie pomieszała im szyków w dowodzeniach, że obie płcie do dnakich stworzone zostały celów, że jednakie przymioty, zdolności i prawa przyniosły z sobą na świat i tylko skutkiem niesprawiedliwości społeczeństwa, ojcowie są ojcami a matki

matkami i że dość byłoby wydać odpowiednie prawo, aby wszystko to przemienić.

Angielki przyszłości wcale nie pytały Natury czy nie ma co przeciw temu, aby obie płcie zamieniły swoje role. Ta to nierozwaga sprowadziła klęskę.

Od chwili, gdy wszelkie zawody stały się wyłącznym udziałem kobiet, żadna panna nie mogła nawet pomyśléć o zamążpójściu, dopokąd nie wyrobi sobie stanowiska dozwalającego utrzymać rodzinę. Z powodu coraz większego natłoku kandydatek do wszelkich zawodów, większość panien dopiero po trzydziestu latach mogła zawierać związki małżeńskie. Jako nagrodę wytrwałych usiłowań, starodawny zwyczaj przeznaczał im w takich razach małżonka z odpowiednim wiekiem, to jest siwiejącego, podstarzałego, przeżyłego Zwyczaj taki wydał im się barbarzyńskim i głupim. Mężczyźni za rządów swoich, nie zachowywali go nigdy; było rzeczą jak najzwyczajniejszą, że starcy żenili się prawie z podlotkami, czemuż podobnie i one nie miałyby robić? I mocą tak wybornego rozumowania, Angielki zaczęły zaślubiać młodzieniaszków, których rzucała im na łup chciwość lub wyrachowania rodzin i Anglia zaludnioną została brodatemi Agnieszkami i Rozynami, chroniącemi się przed Arnolfami i Bartolami w spódnicach.

Zresztą młodzież męzka nie miała wyboru. Wszystkie panny zostawały w jednakowem położeniu, to jest musiały pracować lat piętnaście do dwudziestu, zanim mogły pomyśléć o zamęźciu, a kobieca Izba parów wydała postanowienie zmuszające kawalerów do zaślubiania dam, które ich wybrały, pod karą dożgonnego więzienia. Żenili się więc jako przymuszeni, ale za to byli obojętnymi, znudzonymi mężami.

Trudność podbicia ich serc, stała się głównym węzłem intryg wszelkich powieści i romansów, ale nie koniec na tem. Niezadowolnienie ludności męzkiej, zaczęło udzielać się młodem dziewczętom. Zajęte zdawaniem egzaminów i uganianiem się za jakiemś stanowiskiem społecznem, uważały sobie za krzywdę i niesprawiedliwość, że przez ten czas ich ciotki i babki zabierały im ich wybranych. Daremnie kładziono im w uszy wielkie słowa godności kobiecej, ich wywyższenia i niezależności, biedaczki mimowolnie wzdychały ciężko, myśląc o tych szczęśliwych czasach, w których jedynem ich poważnem życia zadaniem, było bawić się, stroić i nęcić ku sobie. Daremnie przedstawiano im wysokie znaczenie nieograniczonego respektu jakim od czasu emancypacyi płeć męzka otaczała cały ogół niewieści. One bowiem wolałyby daleko, aby mniej respektowano ogół, a więcej kochano każdą z nich osobno. Wzbudzić miłość w sercach męża, stało się żywotną kwestyą dla państwa, gdyż ludność zmniejszała się w nader zatrważającym stosunku.

Gdy się to dzieje, powiada autor, nastąpiło przesilenie ministeryalne w Londynie, upadł gabinet wigów, właśnie z powodu kwestyi męzkiej. Przywódzca stronnictwa, panna Konstancya Carlyon, była to sobie śliczna osóbka, którą wyjątkowe zdolności wyniosły na najwyższe dostojeństwa, w wieku w którym towarzyszki jej zasiadały jeszcze na ławkach szkolnych. Stojąc u steru władzy, dała się poznać z nader szerokich i liberalnych przekonań. Między innemi ogłosiła się stronniczką polepszenia stanowiska mężczyzn, wtedy to matrony Izby parów, mogące na zmianie stracić wszystko nic nie zyskując, utworzyły stronnictwo opozycyjne i obaliły ministeryum. Izba gmin już nie istniała, gdyż od chwili, gdy pozostały w niej same kobiety, zaczęto tak nadużywać języka, że rząd był zniewolony ją znieść.

Przekonanie Konstancyi o niezbędności podniesienia płci męzkiej z upadku, nie zachwiało się bynajmniej mimo owej klęski parlamentarnej. Był to umysł silny, niedający się zachwiać w swych zamiarach, szczególniej ilekroć chodziło o interes osobisty.

Pod tym względem nie ustępowała większość ministrów mężczyzn, a miała właśnie nader ważny interes własny w sprawie praw mężczyzn. W kwestyi tej nie rozumowała na zasadzie suchych i abstrakcyjnych względów filozoficznych, ale według własnego serca, zwyczajem płci swojej, który czyni ją zarazem tak ponętną i nielogiczną. A dobre to serduszko szeptało, iż byłoby to krzyczącą niesprawiedliwością, aby śliczny jej, dwudziesto-dwuletni kuzynek Edward, zmuszony był na mocy prawa do zaślubienia księżnej Dustanburgh, mającej lat sześćdziesiąt pięć, pedogrę, nos haczykowaty, wdowie po trzech mężach, zmarłych, według wieści publicznej, z nudów i utraty sił. To przekonanie panny Carlyon, podzielał w zupełności hrabia Edward. Edukacya pięknego tego chłopca była nader powierzchowna, na pensyi nauczono go tylko śpiewać romanse i czułe piosenki i grać w kriketa. Dwóch jednak rzeczy nauczył się sam przez się, bez metrów i książek, a mianowicie: że miał wielką ochotę zaślubić młodą i piękną kuzynkę swoją Konstancyę i że wolałby pójść do więzienia niż pojąć za żonę księżnę Dustanburgh, starą i brzydką. Takie były jedyne jego opinie polityczne, a jednak starczyły mu do podbicia królestwa.

Wielka dama, nad którą Edward przekładał męczeństwo, była najznakomitszą osobistością w całej Anglii, dzięki swemu urodzeniu, bogactwu, wpływom i stosunkom. Polityczna przeciwniczka panny Carlyon nie bardzo się kłopotała oporem pięknego chłopca, którego sobie wybrała. Młody hrabia był sierotą, a opiekunką jego była kreatura księżnej, zresztą była pewną że i on sam, gdy przyjdzie wybierać między dożgonnem więzieniem a małżeństwem, postąpi jak niewiniątko za dawnych czasów, którym rodzice grozili klasztorem, że dostanie spazmów, ataków nerwowych, a w końcu zgodzi się na wszystko. Gdy raz się pobiorą, księżna wiedziała, że potrafi go poskromić, mogła przecież śmiało liczyć na doświadczenia nabyte już poprzednio w pożyciu z trzema mężami, gdyż pod tym względem sposób postępowania nie zmienił się od czasu „Szkoły kobiet" tylko, że wszystko szło na odwrót. Z początku księżna sprobuje zjednać sobie miłość męża czułością i słodyczą, stanie się najpobłażliwszą małżonką, będzie go pieścić, pozwalać mu na wszystko, otoczy wszelkiemi rozkoszami jakie dać może wielkie bogactwo i zarówno jak trzem zmarłym mężom sprawi mu najkosztowniejsze powozy, konie, psy, urządzi dom na najwystawniejszą skalę, dawać będzie najwyszukańsze obiady, roztoczy w koło niego niezrównany przepych, słowem da mu wszystko... prócz młodości i wdzięków.

Jeźli wszystkie te tkliwe starania pozostaną bezowocne, jeźli niewdzięcznik będzie od niej stronił, wtedy ucieknie się do surowości.

— Poczekaj panie hrabio, mruczała sobie pod nosem, jeźli nie będziesz posłuszny, pojedziemy do pałacu mego w Northumberland, tam w czarnym lochu więziennym odpokutujesz za wszystko, a ja będę pomszczoną.

Wszyscy sądzili, że Edward jest zgubionym gdyż nikt nie przypuszczał, żeby śmiał opierać się do końca swej potężnej wielbicielce, ale nie brano w rachubę miłości, która pod jakim bądź rządem uczy dziewczęta rozumu. Zły duch podszepnął Konstancyi, aby dla ocalenia kuzynka użyła prawdziwie szatańskiego podstępu. Powołując się na prawo obowiązujące, które zmuszając kawalerów do małżeństwa, dozwalało im przecież wybierać między swemi konkurentami, urzędownie oświadczyła się opiekunce o rękę hrabiego Edwarda, oświadczając zarazem, iż ma zamiar przedstawić tę kwestyą parlamentowi, aby stanowcze pod tym względem zapadły postanowienia i żadna nadal wątpliwość nie pozostawała w prawodawstwie. Dowiedziawszy się o tem, osoby stateczne przeraziły się i potępiały pannę Carlyon, w przewidywaniu, że narazi kraj na rozruchy i zaburzenia.

Kościół urzędowy zrozumiał doniosłość interpelacyi i powstał przeciw niej z oburzeniem.

W całym kraju głuche zapanowało wrzenie, na całej jego przestrzeni rozlegał się szmer oburzenia, w którym wyraźnie słychać było te dwa słowa: „Młodzi młodym!" Było to jakby ogólne hasło. Najmniej doświadczeni przeczuwali blizki przewrót i rzeczywiście Natura postanowiła stanowczo nie tolerować dłużej układu społecznego, w którym wszelkie jej prawa zostały pogwałcone i ona to była głównym podżegaczem mężczyzn do buntu.

Od tego ustępu opowieści, następuje niewytłomaczona zmiana. W pierwszej części swej książki p. Walter Besant objawił krzyczącą stronność dla swej płci, dla kobiet zaś był przesadnie surowym. Byłżeby to wyrzut sumienia, czy może obawa podobnego losu jaki spotkał Orfeusza u Traków, lub też obojętność sceptycznego umysłu?

Odpowiedzieć na to nie umiemy. Dość, że doszedłszy do krytycznego momentu akcyi, pan Walter Besant uwielbia co dotąd poniewierał, zacięty wydrwiwacz kobiet, uznaje swoją winę, żałuje za nią i przeprasza publicznie. Przyznaje kobietom zdrowy sąd, zimną krew, przebiegłość, mężczyznom zaś tylko siłę brutalną.

Kobieta to, pani Dorota, profesor Uniwersytetu w Cambrigde, uorganizowała pierwszy zawiązek spisku w celu obalenia rządu. Kobiety także zalewały kraj broszurami anarchicznemi, w których z szatańską zręcznością przedstawiano i wysławiano dawne złote czasy, kiedy dziewczęta znały tylko zabawy, uciechy i bawiące ich zajęcia, a młodzieńcy pracowali, dostając w nagrodę młode i ładne narzeczone. Czytanie takich książek rozpalało wyobraźnię młodzieży angielskiej. Niejedna studentka, po przeczytaniu broszury stawała przed zwierciadłem i przyglądając się swej zwiędłej w skutek mozolnej naukowej pracy twarzyczce, ze złością wyrzuciła dykcyonarze przez okno a tablicę w komin. Niejeden młodzieniaszek rozmyślał długo nad rozprawkami, w których autorka stawiała mu pytanie, do czego służyły mu jego ramiona i ręce, i przysięgał sobie w duchu, iż dowiedzie światu, że potrafi chodzić nie wodzony na pasku. Policya ścigała i konfiskowała niebezpieczne broszury, ale policya żeńska była taką samą jak męzka, przybywała zawsze za późno, gdy złe już się stało.

Kobieta także, prawnuczka sławnej Martyny Moliero, wywołała wybuch powstania, podżegając kowala Toma, aby nie dał się dłużej poniewierać pani kowalce. Inna znów kobieta podniecila hrabiego Edwarda, aby stanął na czele powstańców, których hufce zwiększały się nieustannie.

Niezadowoleni mężowie i nieszczęśliwi kochankowie tłumami przybiegali do obozu, w którym urocze młode kobiety co prędzej przypinały im kokardy, a gorącemi słowami i palącemi spojrzeniami podsycały płomień buntu. Wiele kobiet przybywało za swymi ukochanymi, żądając broni aby mogły dzielić ich trudy i niebezpieczeństwa, mówiąc, że sprawa mężczyzn jest własną ich sprawą, gdyż jeźli powstanie zwycięży, zaślubią swoich wybrańców, w przeciwnym zaś razie, stare kobiety wydrą im jak zwykle. Dla zadość uczynienia ich żądaniom, musiano utworzyć pułk dziewcząt, postanawiając sobie nie wystawiać ich na niebezpieczeństwo.

Kobiety także wydrwiły i wygnały bez litości szanowne matrony wysłane do nich przez rząd z poleceniem nakłonienia zbuntowanych do poddania się i żalu. W nocy, przed bitwą, młode dziewczęta z kokardami zakradły się do obozu żołnierzy broniących porządku i nagadały im tyle niestworzonych rzeczy o okropności położenia, że poczciwiny uciekali tłumami, odsłaniając tym sposobem drogę wiodącą do Londynu. Też same bohaterki tak ślicznie ubrały armię powstańców, że gdy ludność kobieca zaczęła przyglądać się maszerującym, uczuła się pochwyconą za serce.

Tak więc wojsko hrabiego Edwarda w zwycięzkim pochodzie maszerowało ku bezbronnej stolicy. Przeciwników rozproszono bez walki, ale pozostawali jeszcze *horse-guards*, gwardya utworzona z żołnierzy wyborowych, nadzwyczaj karnych, wybieranych z pośród najpiękniejszych mężczyzn w całym kraju. Nie było obawy, że *horse-guards* cofną się przed nieprzyjacielem i dano im rozkaz wystąpienia przeciw zbuntowanym.

Ale właśnie piękność i uległość tych niezrównanych pułków, stały się przyczyną zguby rządu, bo gdy żony tych Apollinów dowiedziały się, że chciano wystawić ich na rzeź lub choćby tylko na rany i blizny, dlatego jedynie, aby stara sześćdziesięcioletnia księżna Dustanburgh mogła zaślubić dwudziestodwu-letniego młodzieńca, tak ich to oburzyło, iż pozamykały mężów na cztery zamki, a ci od dzieciństwa wychowani w zasadach posłuszeństwa żonom, że to jest najpierwszym i najświętszym obowiązkiem, nie stawiali oporu, dość, że w szeregu zostało tylko dwóch małych doboszów będących zupełnie sierotami i jeden sierżant wdowiec. Rząd musiał zaprzestać oporu, uznawszy, że to za małe siły do walki. Izba kobiet parów ogłosiła nieustające posiedzenie, stare damy gotowe były umierać na swych krzesłach kuralnych, młode czekały chcąc zobaczyć mundury, gdyż rozeszła się pogłoska, że hrabia Edward po wejściu do Londynu, pomaszeruje wprost do Izby.

Wtem nagle zagrzmiały trąby i drzwi się otwarły...

Nie będziemy rozwodzić się nad tem co zaszło, powiemy tylko, że nie było rozlewu krwi, że hrabia Edward ogłoszony został królem, ożenił się z Konstancyą, a w Wielkiej Brytanii, na pozór przynajmniej, wszystko powróciło do dawnego stanu rzeczy.

Łatwo pojąć, że trudniej daleko było uregulować sprawy prywatne niż publiczne. Zwrócenie władzy mężom wywołało spory i zatargi w pożyciu domowem. Tak długo upokorzeni Anglicy, oddawali teraz za swoje. Wymagania ich gorzko kazały żałować Angielkom, że odstąpiły od odwiecznej polityki płci swojej, i zamiast rzeczywistej posiadły pozór władzy.

Jednak powoli, stopniowo powrócił dawny porządek rzeczy, kobiety były posłuszne mężom, a mężowie nic nie przedsiebrali, nie poradziwszy się żon swoich. Tak było zawsze, od czasu jak mężczyzna jest mężczyzną a kobieta kobietą, i tak będzie dopokąd istnieć będą na świecie dobrze dobrane małżeństwa, a więc można się spodziewać, że do końca świata.

Ci którzy mniemają, że aby dojść do tego rezultatu potrzeba nowe obmyślać prawa niech się zastanowią nad historyą Saturna i Rei. Niegodziwiec ten pożerał własne dzieci. Mając do czynienia z takim dzikim zwierzem, Rea ani pomyślała odwoływać się do rozumu i sprawiedliwości. Poobwijała kamienie w powijaki i dała je mężowi, zapewniając, że są to dzieci; Saturn uwierzył, pozjadał kamienie i był zadowolniony. Jestże mąż, któremuby żona nie dała czasem kamyków do łykania?

Przytoczymy jeszcze słowa pewnej sławnej księżnej: „Gdy panują królowe, wtedy rządzą mężczyźni, gdy zaś król zasiada na tronie, rządzą kobiety.” Tak więc kobiety byłyby bardzo nierozważne, gdyby dla mrzonek narażały obecne swe stanowisko w ucywilizowanym świecie, byłoby to rzucać posiadającą zdobycz dla jej cienia.

Takie jest przekonanie pana Waltera Besant, które według niego powinni podzielać prawdziwi przyjaciele kobiet; w tym celu napisał on „*The Revolt of man*” i książkę tę jego zalecamy jako bardzo dowcipną, zabawną a nadewszystko moralną.

J. B.

WIOSNĄ I JESIENIĄ.

Niezrozumiana ta przeciwieństw władza,
Co w duszach ludzkich swe piętno wykuwa,
Wiosna mi myśli jesienne nasuwa,
A jesień moje uczucia odmładza.

Bo wiosna w swoich dziełach, nieoględnie,
Przyszłem zniszczeniem już cała oddycha:
Na wpół otwartym pączku czytam: „więdnie”,
Na młodym liściu: „żółknie i usycha!”

Z wiosną ja myślę o każdej godzinie,
Olśniona światłem i śpiewem w gęstwinie,
Że słowik zmilknie, promień słońca zblednie.

Jesienią słyszę życia przepowiednie,
I ufam, że gdy smutna pora minie,
Nastanie wiosna, trwalsza niż poprzednie.

Emilia.

ROSA THEA.

OBRAZEK Z ŻYCIA

przez

Ewelinę Badowską.

(Dalszy ciąg.)

Czy jednak Jerzy słyszał sensacyjny frazes starego pana, zakończony wyrazem charmante! wątpimy, słuchał i patrzył, lecz słuchał walca, twarz mu pobladła, drżały nozdrza, źrenice ciemnym płonęły szafirem a patrzyły, nie na pysznie strojną i pysznie piękną rudowłosą hrabinę M. lecz na bladą jak marmur twarz pani Maryi, w której zdawało się, że ostatnia krwi kropla krążyć przestała.

Głośny akord zakończył walca, szalone oklaski zahuczały jak burza, gdy Jerzy patrzący wciąż na prawo, wyrwał nagle rękę z pod ramienia swego starego towarzysza, obejrzał się wokoło i poskoczył do najbliższego krzesła a chwyciwszy je, pobiegł z niem ku pani Maryi i w porę bardzo, bo dopiero teraz pan Jan spostrzegł, że towarzyszka jego z wysiłkiem ostatnim, chwiała się, mając już upaść.

Po kilku minutach odpoczynku na krześle i wypiciu szklanki wody przyniesionej przez Stefana, podniosła powieki, a rumieniąc się, coraz mocniej zmieszana, przepraszała swych przyjaciół za chwilowy niepokój.

— Co się to kochanej jedynej pani stało?—pytała przestraszona dziewczynka — taka pani byłaś strasznie blada.

— Nie Wandziu, już minęło, zwyczajne osłabienie po nadzwyczajnem sił wyczerpaniu. Dzisiaj od dziewiątej rano do siódmej wieczór biegałam po wystawie i ledwie zdążyłam się przebrać nic nie wypocząwszy, gdyście po mnie wstąpili, przytem ten szalony dzisiejszy upał a teraz na ostatku ta muzyka taka... taka...

— Zachwycająca — dokończyła Wańdzia.

— Ja bym ją nazwała inaczej... do reszty sił mnie pozbawiła.

— A niech go! jak gra Niemiec! — zawołał Jan — Widziałem Wańdziu, że ledwie stałaś na miejscu, a i wam panie Stefanie jakby skakały nogi; lecz nie dziw, nie dziw, dalibóg, gdyby mi nie wstyd było tych tu Niemców w koło, i mnie chęć brała starego rzucić się w ten szalony taniec. Umierającego zdaje się do życia pobudziłby jeszcze.

— A dodaj pan zarazem, że i życie na sekundę zatrzymać potrafił — odezwał się Jerzy wciąż przed panią Maryą stojący i w nią wpatrzony — byłaś pani tak strasznie, strasznie bladą.

— Żem panu aż przypomniała umarłą — odrzekła pani Marya cicho i łagodnie.

Wtem opuszczony przez Jerzego starzec, zbliżył się powoli a witając wszystkich w koło uprzejmie, lecz z temi odcieniami i akcentowaniem delikatnem jakie odbywa się tylko długiem życiem na śliskich posadzkach salonu, najprzód zwrócił się do pani Maryi.

— Zachwycony, że panią spotykam tu jeszcze i pożegnać mogę, od dni kilku nie widziałem jej nigdzie, a przed chwilą nawet pytałem o panią kuzynka, lecz on, w miejsce odpowiedzi, pobiegł tu i pokazał, gdzie mi jej szukać należy. Prawdopodobnie jutro wyjeżdżamy.

— Czy pan marszałek wraca już do domu — spytała uprzejmie pani Marya.

— To jeszcze niepewne, teraz jadę do Krakowa, gdzie czeka na mnie siostra z pupilką moją.

— Sądziłam, że panie wprost z Wiednia do Włoch pojadą, tak zdaje się projektowała panna Klotylda, tymczasem w stronę zupełnie przeciwną panie pojechały.

— Tak, nastąpiły małe w projektach zmiany, a nagle, jak to u pań często bywa, trochę mi to nawet pokrzyżowało moje plany, ale że — kończył z pół ukłonem i uśmiechem — posłuszeństwo dla

dam przedewszystkiem, więc spieszę do nich, kiedy wzywają, ce que femme veut...

— Tak to, tak z nami zwykle bywa panie marszałku — odezwał się pan Jan — co chcą to robią te białogłowy.

— Więc to prawda ojczulku? — spytała filuternie uśmiechnięta Wańdzia.

— Poprobój pani, panno Wando — rzekł zwracając się do dzieweczki i obejmując ją zaciekawionem spojrzeniem stary światowiec.

— Zawcześnie trochę jeszcze na te eksperymenta dla Wańdzi—nie rad ze zwrotu rozmowy, przerwał p. Jan.

— Ale, kiedy ojczulek mówi zawsze, że najlepsza teorya nic nie znaczy bez praktyki i że im wcześniej tem lepiej.

— Wrócić naprzykład do domu i spać się położyć — przerwał wesoło ojciec — masz racyą Wańdziu i pewno powiemy już państwu dobranoc.

— Powiem tymczasem do widzenia tylko — i dygnęła figlarnie dzieweczka, a uszedłszy kroków parę, zawołała: — pani Maryo, panie Stefanie, pójdźcie państwo prędzej, bo doprawdy ojczulek mnie zabierze—a odwróciwszy główkę dodała. — Panowie pójdą pewno teraz zamówić kolacyą a jak będzie gotowa i podana i my służymy.

Rozśmieli się wszyscy i usłuchali wesołego dziewczęcia, bo obaj starzy wziąwszy się pod ręce skierowali kroki w stronę portyku, zkąd słychać było brzęk szklanek i talerzy i nawoływania garsonów a Wańdzia ze Stefanem i pani Marya z Jerzym poszli na lewo, minęli złoconą siatkę opasującą iluminowany obręb ogrodu na koncerta zajęty, i weszli w dalsze aleje, oświetlone tylko łagodnemi, srebrzystemi blaskami księżyca.

— Czy panią ta przechadzka nie zmęczy — spytał Jerzy pani Maryi głosem cichym a tak jakoś serdecznie, opiekuńczo, łagodnie brzmiącym, że kobieta zdziwiona tym dźwiękiem, jakiego nigdy nie słyszała u młodego człowieka, podniosła na niego swoje ciemne, głębokie oczy i pytając niemi a milcząc, zatrzymała je na pięknem obliczu młodzieńca.

I Jerzy patrzył w ciemne, a jak je sam nazwał, gwiaździste kobiety źrenice, i na jej białe, spokojne czoło, i na całą, pochyloną ku niemu a lekko na ramieniu jego wspartą postać i czuł dziwną w piersiach błogość i jakąś spokojną, wielką siłę, ogarniającą go powoli swą mocą.

Ale chwila milczenia przeciągała się, p. Marya nie odpowiadała, więc Jerzy spytał powtórnie:

— Pani mi nie odpowiada, czy możemy iść dalej?

— I owszem, jestem już zupełnie zdrowa i silna — a po pauzie spytała cicho i nieśmiało — czy dawno straciłeś pan matkę?

— O! dawno, ale dlaczego teraz pytasz mnie pani o to? — rzekł nadzwyczaj zdziwiony Jerzy.

— Dlaczego... zaraz... — odrzekła powoli — muszę to sobie wpierw sformułować, ale będę myśleć głośno, pan pozwoli... dobrze?

Skinieniem tylko głowy odpowiedział Jerzy.

— Oto, gdyś mnie pan spytał raz pierwszy czy mnie ten spacer nie zmęczy, głos pana był taki miękki, serdeczny, w głosie gdyś to mówił było coś... jakby obiecującego opiekę troskliwą, a w twarzy gdym na pana spojrzała, wyraz takiej dobroci serdecznej, że nie słysząc i nie widząc pana nigdy takim, poznać go nie mogłam. Zjawiska tego, z tem co mówisz pan zwykle zjednoczyć nie mogąc, a szukając do rozwiązania problematu drogi, doszłam myślą aż do twej młodości i dzieciństwa i zobaczyłam wtedy u boku pana matkę, co musiała mieć taki głos serdeczny i miękki i taką twarz szlachetną.

Jerzy blady, jak pani Marya była przed chwilą, słuchał jej z zapartym oddechem, wzruszenie pierś mu rozsadzało, a łza, gość dawno zapomniany i niewidziany, zaćmiła mu źrenicę.

— Tak, miałem taką matkę, o jakiej mówisz pani. Taką szlachetną, młodą i piękną matkę, taką mężną w znoszeniu boleści i spokojną, choć z ciężką w sercu raną i z takim miękkim serdecznym głosem. Dawno już umarła, o dawno, co burz przeszło przez serce, co szaleństw przez głowę od tego czasu, a po wszystkiem została tylko pustka, pustka zupełna i tylko jej jednej wspomnienie, pięknej, bladej, uśmiechniętej zawsze do mnie słodko, a potem martwej, wśród świateł i zieleni z różami białemi w dłoni, pozostało mi w zbolałem sercu. — A wpatrzone gdzieś w dal oczy, zwracając znów kup. Maryi mówił — i wiesz pani dlaczego innym dziś do ciebie niż zawsze do wszystkich przemówiłem głosem? Dlaczego w tym głosie usłyszałaś dobroć i obietnice szlachetne? Boś mi ją przypomniała, blada, z zamkniętemi powiekami, jakby śmiercią uśpiona.

Kobieta patrzyła na mówiącego, łzy kryształowe u rzęsy jej drżały a po chwili głosem jak szmer cichym mówiła.

— A ja matki mej nie znałam zupełnie, przychodząc na swiat, jej odebrałam życie. O nie wiesz pan, co to jest od kolebki sieroctwo, jaka to za matczynym uściskiem tęsknota.

Młodzieniec ujął dłoń mówiącej w uścisk długi, serdeczny i nie puszczał dłoni. Czy myślał o tęsknocie jej za matki uściskiem. Może, bo po chwili, gdy mu dłoni nie odbierała, nachylił ku niej usta i złożył pocałunek, potem dodał rzewnym, głębokim głosem — dzięki ci pani za odżywione matki wspomnienie.

Dochodzili do końca alei, milczeli, lecz Stefan idąc przodem z Wańdzią odwrócił się i zapytał: czy dalej, na lewo, czy z powrotem, jak panie każą.

— A może odpoczniemy tu chwilkę, czy dobrze droga pani?—prosiła Wandzia — o ławka, a jaka piękna ta fontanna z posrebrzoną wodą.

Siedli, księżyc płynął nad niemi, fontanna szemrała, heliotropy u stóp jej niosły fale woni a orkiestra woddali zaczęła fantazyą ze snu letniej nocy Mendelsohna. Cicho było na ławce, milczała p. Marya i obaj młodzi ludzie, nawet szczebiocząca zwykle dzieweczka ucichła na chwilę, lecz pierwsza tę ciszę przerwała pytając Jerzego.

— Czy pan marszałek zabiera pana z sobą do Krakowa?

— A może ja marszałka zabieram ze sobą — odparł zapytany, uśmiechając się.

— To już mi wszystko jedno, któren z panów zabiera którego, chodzi mi tylko o to, czy pan w tych dniach odjeżdżasz?

— Zdaje się, a gdy odjadę, czy pani tęsknić za mną będzie?

— A czy gdybym tęskniła to byś pan nie pojechał?

— Być może.

— Jakże ja też nie lubię tych odpowiedzi pana „być może”, „zdaje się”, lub coś takiego, zawołała przedrzeźniając niby Jerzego, wesoła Wańdzia. — Pan Stefan—mówiła szczebiocząc dalej— to gdy go spytam o co, zawsze mi jasno i stanowczo odpowie i takie tylko lubię odpowiedzi.

— To znaczy, że lubisz pani stanowczość przedewszystkiem — odparł wciąż uśmiechnięty do dziewczęcia Jerzy — i znać ztąd, że jesteś pani córką wojaka i do tego wodza.

— A pan?

— Rzucony od młodości na ocean życia, na łodzi bez steru biedny rozbitek — żartując i przedrzeźniając trochę na wzajem rezolutną dzieweczkę, odparł Jerzy.

— I zadowolnionyś pan ze swego losu?

— Niezupełnie.

— A cóż myślisz robić?

— Może poszukać sobie sternika.

— I już nic więcej? — i strzeliły jej oczy i dumnie się odęły purpurowe usteczka.

— A cóż więcej jeszcze potrzeba?

— O, bardzo wiele... ja, gdybym nie umiała łodzią swoją sama kierować, sternika bym poszukała, ale po to tylko, by się od niego sztuki tej nauczyć, a potem, gdy on się zmęczy pracą swoją, stanąć mu do pomocy i razem sterować, a potem, jeszcze, potem, gdyby mi go zabrakło, odważnie już płynąć sama.

Spojrzenie Stefana i pani Maryi z zadowoleniem spoczęły na zarumienionej wzruszeniem pięknej twarzyczce dziewczęcia, a Stefan odwróciwszy się do milczącego Jerzego, powiedział:

— Zostaniesz Jurku pobity przez pannę Wańdę, brońże swej sprawy.

Jerzy milczał, a Wańdzia widząc, że nie spieszy z odpowiedzią, uśmiechając się złośliwie dodała:

— Pan Jerzy nie ma czasu na odpowiedź, rozważa teraz pewno, rozmyśla.

— Nad tem — szybko przerwała p. Marya — że jesteś trzpiot wielki i wielka filutka.

— I nad tem, że pani jesteś bardzo dobrą zawsze pani Maryo, dokończył Jerzy.

— O to nareszcie, jak się należy, stanowcze zdanie, zawołała parsknąwszy śmiechem młoda dziewczyna i wszyscy się wesoło rozśmieli a może to my wrócimy do naszych panów — dodała — bo sami zjedzą kolacyą.

— A pani trzymasz się zasady, że zawsze z pomocą spieszyć trzeba — złośliwie dorzucił Stefan podając jej ramię i wesoło gwarząc i śmiejąc się poszli znów przodem oboje.

Pani Marya opierając się o ramię Jerzego i patrząc na nich mówiła.

— Bardzo lubię tę dziewczynkę, czasem, znać to, że od dzieciństwa wychowuje ją tylko ojciec wdowiec i były wojak w dodatku, ale brak jakiejś tam może formułki światowej, jakże szczerością charakteru i wesołością humoru hojnie jest zastąpiony. Trzeba ją kochać koniecznie, a i powierzchowność jaka wdzięczna, prawdziwa różyczka.

— Ah! nie róża, pani — rzekł Jerzy jakby z prośbą w głosie.

— Dlaczego? a pamiętam... pan mi nawet winien jesteś odpowiedź. Tak, róża, przypominam sobie, to jakiś symboliczny kwiat dla pana—a nagle, przypominając dalej jeszcze, dodała głos zmieniając — róże w dłoni miała i matka pana.

— I ta jej dla róży szczególna miłość, jak wszystko niemal co biedna matka moja kochała, była zwykle do szyderstw i żartów szerokim motywem. O jak to dobrze pamiętam, mimo tego jednak, pod oknami jej pokoju zawsze różane rosły krzaki a w zimie róże kwitły w żardinierce. Ostatnie, kwitnące blade róże jesienne, blade jak

ona, w martwą dłoń jej włożyłem i róże ma zawsze u grobowca.

Dziwnie wzruszona, słuchała młoda kobieta tych wspomnień młodzieńca, inny, niż dotąd znany Jerzy odkrywał się teraz przed jej umysłem i sercem. Wzruszona, odezwała się.

— Rozumiem teraz, czemu róża, to drogi kwiat dla pana, niewinnie sprawić ci może czasem boleść wielką, w świętościach najdroższych pamiątek ma tylko właściwe miejsce.

— Ale trzeba spieszyć, panie Jerzy, idziemy tak wolno.

— Nie spiesz się pani, i mimo wiedzy może, jak gdyby bał się by mu ujść nie chciała, przyciągnął ją bliżej ku sobie, rękę jej silniej oparł na swojej, i tym niezwyczajnym, przejmującym a cichym głosem mówił do niej.

— Jedyną świętością serca mego podzieliłem się z tobą pani, winienem ci był tylko opowieść o róży, lecz zapytanie pani o dzieciństwo moje, wywołało całą, zupełną spowiedź mej istoty. I pani wtedy na Semeryngu, odpowiedź na pytanie i prośbę mą przyrzekłaś, a patrząc kobiecie w oczy gorąco, głęboko, mówił dalej. Zamkniętą księgę zatytułowałem „kobieta", pani o tytuł „człowiek" upomniałaś się wtedy, różnica między temi dwoma wyrazami może już znikła dla mnie dziś zupełnie, ale znów powtórzę słowa pani „jak różne cele, tak różni ludzi". Otóż, pani Maryo powiedz mi, czy ludzie z ksiąg takich wyciągają dłoń kiedy, do ludzi... zwyczajnych bardzo.

Pani Marya, coraz więcej zmieszana i wzruszona, po chwili dopiero odezwała się.

— Mnie się zdaje panie Jerzy, że ja już wtedy zupełną odpowiedź panu dałam, a pan, tytuł proponowany przezemnie przyjąłeś i wtedy już mówiłam, że nie żadna idealna doskonałość, a zwyczajny człowiek mieści się w tej księdze.

— A ja mówię, że najzupełniejsza kobieta i najdoskonalszy człowiek, w istotę jedną zlane, treść jej stanowią. Ale, pani Maryo, czy ta doskonała istota, mniej doskonałych od siebie dumnie nie odepchnie, buntującym się słabościom wybaczy, a potęgę ducha miłosiernie ożywi? Czy chyląca się ku słabszym, gdy ich siłą swoją wskrzesi i na mężnych może podniesie, czy wtedy te wielkie cnoty mając, będzie mieć jeszcze większe, by czasami namiętności egoizmu pojąć, zazdrość o zdobyty skarb zrozumieć? Powiedz mi to pani, powiedz, a w miarę słów wymawianych, dłoń jej tulił silniej w swojej, głos drżał mu coraz bardziej namiętnem wzruszeniem, a w płonących oczach i zbladłej twarzy, to gorzał ogień i pragnienie, to obietnice i prośba pokorna, to bunt przeciw tej prośbie, bo kobieta milczała, co podniosła źrenice, to je spuszczała, a wzruszona, drżąca daremnie usiłowała odpowiedzieć.

Kilkanaście już zaledwie kroków, dzieliło ich od płonącej ogniami części ogrodu. Spojrzeli na siebie, oboje wzruszeni, bledzi, Jerzy oczami o odpowiedź prosił, pani Marya milczała, wciąż brwi marszcząc dodał gorzko:

— Pani milczysz ciągle, tak, to naturalne.

Lecz kobieta opanowując choć w części wzruszenie swoje, drżącym odrzekła głosem:

— Pan pytasz o tyle rzeczy, że nie wiem... co ja mam panu... odpowiedzieć... — i głos, mimo wysiłku z jej strony uwiązł jej w gardle. Jerzy po chwili jeszcze oczekiwania gwałtownie usunął swoje ramie, ale kobieta podniosła ku niemu spuszczone od chwili oczy i spojrzała niemi takiem ciepłem, pełnem blasków spojrzeniem i wyciągnęła rękę z takim giestem serdecznym, że dłoń jej znów pochwyciwszy, szedł z nią, nic jednak nie widząc przed sobą.

* * *

Oba starzy panowie, jak domyślała się Wańdzia, czekali już na nich oddawna i giestami wzywali ku sobie. Przyspieszyli kroków, a pan marszałek objąwszy ich wszystkich bystrem spojrzeniem i zbliżając się ku nim zapraszał do stołu.

— Czekamy już dość dawno, a odejść nie mogliśmy, bo po długiem zaledwie staraniu zdobyliśmy wygodny stolik i spokojny kącik, którego strzeżemy, a wyciągając ku pani Maryi ramię i skinieniem głowy prosząc Jerzego, by mu miejsca obok niej ustąpił, z galanteryą i attencyą wprowadził ją pod kolumnadę i wiódł wśród tłumów zapełniających salę, do stojącego na uboczu, pośród wazonów i kwiatów, przygotowanego dla nich stolika.

— Będzie nam tu wygodnie i trochę od gwaru dalej, niech panie siadają, a przyjmując na siebie jakby gospodarza rolę, umieścił pana Jana, obok pani Maryi, drugie przy niej krzesło ukazując Jerzemu, siadł sam naprzeciw po drugiej stronie, zapraszając Wandzię na swą sąsiadkę i sadzając obok niej Stefana.

Zręczny światowiec, dojrzał lekko zdziwione spojrzenie Jerzego, a rad z tego, jak wódz wytrawny w szermierkach na tem polu, z tym lepszym jeszcze humorem, częstował, zapraszał, żartował.

Długa jednak minęła chwila, nim Jerzy i pani Marya do ogólnego, wesołego nastroili się tonu i choć pan Jan z marszałkiem przekomarzali się z Wańdzią, której w chwilach krytycznych Stefan dopomagał, choć Wańdzia rozrumieniona, szczebiocząca, wesoła, niezwyczajnie dziś dowcipna, wywoływała co chwila wybuchy śmiechu obydwóch swych sąsiadów a staremu ojcu świeciły oczy szczęściem, gdy patrzył na swą ukochaną jedynaczkę, oni oboje nie mogli odrazu zawtórować im zgodnie i tak wesoło, jakby to może zrobili byli wczoraj.

Minęła jednak ta pierwsza, trudna i przykra chwila, a gdy rozmowa zeszła na wystawę, odezwała się nareszcie i pani Marya, opowiadając, czego była świadkiem, jak wielki szach perski obwożony z honorami po wystawie w fotelu, z ogromnego zachwytu i podziwu, zasnął uroczyście.

Stefan opowiedział jeszcze, jakie zabawne i komiczne miny miała wtedy cała świta dostojnego monarchy, nie mogąca go obudzić i nie mogąca także zakazać publiczności, wesołych śmiechów i żartów.

Odezwał się i Jerzy, pytając czy zwiedzali pałac wice króla Egiptu, w którym strzeże haremowych podwoi, milczący w fezie turek, któren jednak dnia tego rozgniewany natrętnemi pytaniami i prośbami by wpuścił za zaklęte drzwi haremowe, zaklął ogniście najczystszą niemieczczyzną, milionów „teuflów" wzywając. Wszyscy się już serdecznie rozśmieli, a czując w harmonijną całość składające się wszystkie tej małej uczty warunki, poddali się chętnie miłemu wrażeniu.

— Bitte! bitte! — zawołał donośnie młody, dźwięczny głos męzki za niemi. Przy najbliższym stoliku, siedział w węgierskim dolmanie ogorzały młodzieniec i przywoływał giestem ku sobie ładną kwiaciarkę, która tylko co weszła do sali.

Była to młoda, śniada, o kruczych włosach i czarnych jak węgiel oczach dziewczyna, Włoszka może, przynajmniej na włoski sposób przybraną miała głowę. Długi, czarny szal koronkowy, podtrzymany u skroni dwoma koralowemi, w złoto oprawnemi szpilkami, okrywał jej klasyczną głowę i otaczał ramiona, a na piersiach wielkim spięty koralem, tworzył przezroczystą draperyę, opadającą na białą lekką sukienkę dziewczyny. Z pod krótkiej spódniczki, wyglądały zgrabne nóżki, obute w czarne, z świecącemi klamrami, na wysokich koreczkach pantofelki, przytrzymane pokrzyżowaną gęsto czarną wstążką. W rękach niosła dziewczyna, misternej roboty, płaski, pleciony, ażurowy koszyk, napełniony świeżemi, wonnemi, ślicznemi kwiatami.

Wołana, zbliżyła się, młody człowiek wybrał dwa bukieciki, jeden z purpurowych werwen i ofiarował go starszej towarzyczce, a drugi z przepysznych fijołków alpejskich i podał go młodziutkiej, zarumienionej nagle jak jutrzenka jasnowłosej dziewczynie siedzącej obok starszej kobiety.

Kwiaciarka, za sutą zapłatę podziękowała młodzieńcowi, pięknym, wdzięcznym, ukłonem, a spojrzawszy na gronko naszych znajomych i zobaczywszy w niem także dwie młode kobiety z młodzieńcami u boku, ku nim się zwróciła, dojrzawszy jeszcze, że patrzą na nią ciekawie i uprzejmie, co kobiety, kwiaciarki, tak dojrzéć i zrozumiéć umieją.

Przed chwilą bowiem, pani Marya, patrząca na nią od czasu, gdy tylko weszła do sali i gdy zgrabnym ukłonem pochylała kosz z kwiatami przed ogorzałym Węgrem, zwróciła na ten piękny obrazek, uwagę swych przyjaciół, mówiąc: — co za piękna całość, choć takie dwa kontrasty. Kruczo-włosa neapolitanka w koralach, przed jasno włosą o habrowych oczach germanką, a między niemi z energiczną twarzą młody madziar, ofiarujący fijołki, do fijołka nadobnej dzieweczce. Patrz Wańdziu, amatorko stanowczych charakterów, jakie to piękne typy.

Zwrócili wszyscy oczy na śniadą dziewczynę a uznając spostrzeżenie pani Maryi, uprzejmie na nią patrzyli. Kwiaciarka podeszła i kłaniając się wdzięcznie podniosła trochę kosz swój i stała milcząca. Pan marszałek i tutaj w galanteryi uprzedził swych towarzyszów a wybierając dwa piękne bukieciki, w których heliotropów było najwięcej, ofiarował je paniom. Srebrny pieniądz upadł w śniadą rękę dziewczyny, ukłonem ich żegnała, gdy Jerzy pochylił się nagle nad koszykiem a wyjmując żywo dojrzany kwiat, z wśród pojedyńczo leżących i nieuwiniętych jeszcze w wiązanki kwiatów, wydobył przepyszną, bladą, o cielistym odcieniu, wspaniałą wonną rose theą.

Pani Marya widziała giest młodego człowieka, gdy żywo coś wśród kwiatów ujrzawszy z pośród nich wyjmował, a gdy z bladą różą, sam nagle pobladłszy, ku niej się odwrócił i pochylił, uczuła dziwne, nieznane jej dotąd w piersiach i w krtani ściśnienie i ujrzała jakby z mgły chmurę przed oczami.

Widziała, czuła więcej, że przed nią stoi a nie mogła podnieść oczu i dopiero głos Wandzi i wykrzyknik jej — ah! co za prześliczna róża — zupełną wrócił jej przytomność.

Na głos jednak dziewczęcia, brwi lekko ściągnęła i otworzyła usta, któremi, Jerzemu się zdawało, że jak on, zawołać na nią chciała: — cicho, nic nie mów, cicho...

Wpół wyciągniętą rękę trzymała w powietrzu nie biorąc róży, Jerzy ją zrozumiał a patrząc na milczącą, włożył jej w dłoń kwiat trzymany.

Pani Maryi krwi fala uderzyła na lica. Chciała coś przemówić, ale marszałek jednym oka rzutem dojrzawszy sytuacyą, choć nie znając jej przyczyn lecz następstw się bojąc i widząc, że drażliwa, przeciągać jej nie chciał, mignęła mu błyskawicą uwaga, czy czasem nie za bardzo szarżował lekceważąc niebezpieczeństwo, więc nachylił się ku pani Maryi a patrząc na różę, odezwał się swobodnie:

— Najpiękniejsza thea jaką widzieć można i najszczęśliwiej przez kuzynka znaleziona, by właśnie, pani ją ofiarować. Kiedyś, kwiaty — ciągnął marszałek wesoło — znaczyły różnych uczuć istnienie i odcienia, dziś, gdyśmy już pozytywiści z tych sielanek wyrośli, zrywamy je tylko po to, żeby niemi na chwilę zmysły nasze ucieszyć. Ja jednak, wiele jeszcze ze starych tradycyi zachowawszy, wyznaję, że nie można zrobić porównania trafniejszego, jak pięknej kobiety do pięknej róży, a z wszystkich znów róż pięknych — kończył pochylając się z galanteryą — chcąc godną jej ofiarować, wybrałbym tylko taką oto różę theę.

Jerzy słuchał tirady marszałka z brwią silnie zmarszczoną i nie spuszczał z niego oczu, dopiero przy słowach ostatnich rozchmurzył czoło, a pochylając się ku pani Maryi, tak cicho, by tylko przez nią był słyszany, powiedział: — tak, rosa thea, to godne pani imię, pani jednej na świecie.

Znów rumieniec przepłynął po licu milczącej wciąż kobiety i znów dojrzał go marszałek, a wołając o jedną jeszcze wina butelkę, zaproponował toast pożegnalny.

— My jutro, stanowczo już wyjeżdżamy, pani podobno jeszcze zostaje, lecz wy panie Janie zdaje mi się w tych dniach także wracacie do siebie. Słusznie więc byśmy się przy pożegnalnem uściśnieniu dłoni raz ostatni stuknęli kieliichem.

— Zgoda, zgoda marszałku.

— Kiedyż pani jednak powróci do kraju? Podobno przyjazd przyjaciela pani, znakomitego inżyniera naszego Witolda, będzie o tem stanowił, a dobrze znający marszałka, byliby dojrzeli jak nieznaczna fałdeczka nad ustami mu osiadła. Nie źle szyderstwo kryjąca dla obcych, dla blizko jednak znającego go Jerzego, nie ukryła zamkniętej w tem pytaniu myśli, a gdy jeszcze usłyszał twierdzącą pani Maryi odpowiedź, krew gwałtownie uderzyła mu do czoła.

Gdyby dobrze był słuchał, to w spokoju odpowiedzi młodej kobiety i w niewinnie patrzącem na marszałka spojrzeniu, byłby co innego, to właśnie czego pragnął, dojrzał i usłyszał, ale zręczny światowiec dopiął celu.

Ironiczny, dawny uśmiech powrócił na usta Jerzego i z nim zwracając się ku pani Maryi, głosem, na dźwięk którego nagle się obróciła i zdziwiona, szeroko otworzyła oczy, zapytał:

— Pan Witold udał się podobno do Szwajcaryi, by zwiedzić i zbadać rozpoczęte roboty przekopu Gottarda, które, tak niefortunnie walczą z napotykanemi co krok przeszkodami, lecz teraz pewno, gdy tak znakomity inżynier je zbadał, ustąpią z drogi.

— Być może — spokojnie i z godnością odrzekła kobieta, a popatrzywszy chwilę młodzieńcowi w oczy, najprzód podniosła dumnie czoło, lecz gdy spojrzała potem na bladą różę trzymaną w dłoni, woń której upajała ją rozkosznie, smutne źrenice znów podniosła na młodego człowieka i popatrzyła niemi, tak jasno, przejrzyście, że Jerzy czując jak mu coś w piersi bolącego przed chwilą, koi się pod tem spojrzeniem, szepnął: — o, rosa thea...

Marszałek i pan Jan jednocześnie spojrzeli na zegarki a przestraszeni późną godziną o powrocie wspomnieli. Podniosły się kobiety ale niechętnie jakoś, wtem Strauss, gdy go mijali, zaczął grać na ogólne żądanie walce swoje raz jeszcze.

— Ojczulku, zostańmy chociaż minut parę — prosiła Wańdzia.

— Nie! nie! dziecko — zawołała nagle pani Marya — nie! — a przygarniając ją ku sobie i wyprzedzając wszystkich spiesznym krokiem uchodziła z ogrodu.

IV.

W pięknej podkarpackiej okolicy, u stóp jednego z większych wzgórz, wśród zieleni sadów i drzew starych, rozciągała się wieś duża, nęcąca oczy białemi ścianami czystych i dużych chat włościańskich.

Po za wsią, na samym stoku wzgórza u stóp którego płynęła bystra, czysta o kamienistem łożysku górska rzeczułka, wznosił się piękny, niby to włoskim stylem zbudowany pałacyk z gankami i filarami, świecący zdala mnóstwem szyb kryształowych, otoczony kląbami, trawnikami i krzewami.

Na dużej, strojnej w wazony i kwiaty werendzie, służba krzątała się około nakrycia stołu do wieczornej herbaty.

Zaświeciły srebra i kryształy, poustawiano owoce i ciasta, stary, siwy sługa poglądał z daleka na robotę młodszych lokai, zbliżył się, rzucił okiem, a uznawszy, że wszystko gotowe, szepnął do siebie:

— Pójdę prosić.

W tejże chwili zaturkotało coś w oddali i tuman kurzu podniósł się na drodze, którą z ganku dobrze widać było, stary sługa się zatrzymał żeby zobaczyć kto przyjeżdża.

Zajechała przed pałacyk zwyczajna dorożka, wyskoczył z niej młody człowiek w szarem letniem ubraniu i słomianym kapeluszu a zwracając się do starego sługi, który jak jemu tak i dorożce przyglądał się obojętnie, spytał dźwięcznym głosem.

— Pan w doma?

— Jaśnie pan w domu.

— A pani?

— Jaśnie pani także.

— Prowadź mnie do pana przyjacielu.

Stary sługa zszedł powoli ze wschodów i ręką ukazując na drzwi od lewego skrzydła pałacyku, prowadził gościa do pokoi zajmowanych przez pana domu.

Po chwili wrócił raz jeszcze, rzucił okiem na przygotowane nakrycie stołu i wchodził wewnątrz sieni, gdy we drzwiach ukazała się młoda, piękna, strojna pani domu, przed którą stary sługa pochyliwszy głowę w bok się usunął.

— Kto to przyjechał?

— Nie wiem jaśnie pani.

— Idź się dowiedz — dodała i przystąpiła do stołu.

Stary sługa popatrzył w okna na lewo, potem na stojącą za kląbem dorożkę i ku niej się zwrócił.

Młoda pani spojrzała na zegarek, lekko brwi zmarszczyła i patrząc także w okna lewej pałacyku strony, czekała na służącego.

Powrócił, a pochylając znów głowę rzekł.

— Pan ten zgodził w Krakowie dorożkę na ulicy i ztamtąd jedzie, nic nie wiem więcej jaśnie pani.

— Dobrze, podawać.

Stary sługa spojrzał także ku lewemu pawilonowi i zdziwionym, smutnym jakimś uśmiechem, powiódł oczami za postacią młodej kobiety, która odwróciwszy się od niego, z brwią ciągle zmarszczoną, podniesioną dumnie głową i nieprzyjemnie ściśniętemi ustami, chodziła po werendzie.

Minęła długa chwila, nim na dźwięk głośnej rozmowy odwróciła powoli głowę, a zdziwiona tem widać, że ona taka głośna i wesoła, zmrużywszy oczy przypatrywała się rozmawiającym i idącym ku werendzie mężczyznom. Może poznała przybysza, lecz nie zbliżyła się ku niemu, tylko cofając się do stołu zajęła przy nim miejsce.

Mężczyźni śmiejąc się, wchodzili na wschody, a gospodarz domu biorąc gościa za rękę, rzekł do niego:

— Przypomnę cię mej żonie.

Podeszli przed siedzącą młodą panię, a sekunda jedna starczyła, by swobodna dotąd fizyognomia gospodarza, zmieniła się nagle i przybrała wyraz obojętności i chłodu. Głosem też, któren do twarzy zupełnie był podobny, prezentował gościa.

— Przypominam ci Klotyldo Stefana, nasz dawny z Wiednia przyjaciel.

Stefan nizko się ukłonił.

Pani Klotylda chwilkę milczała, przez którą jednak nim Stefan podniósł przy ukłonie spuszczone powieki, zdążyła zmierzyć męża, jakimś zagadkowem wyniosłem spojrzeniem, a nareszcie układając usta niby do pół uśmiechu odrzekła wolno.

— A, przypominam sobie, pan Stefan, twój — i dobitny nacisk robiąc na tym zaimku — znajomy — dodała, a ukazując krzesło, uprzejmiej już spytała:

— Pan z daleka?

— Z daleka i z blizka pani, od kilku miesięcy jestem w drodze, byłem we Lwowie, teraz jadę z Krakowa a przytem różnych wstępów było dosyć.

Lokaje wnieśli tace, gospodarstwo częstowali, słychać było szczęk łyżeczek i brzęk porcelany, ale rozmowa rwała się ciągle, mimo starań i swobody Stefana. Gość obserwował Jerzego i teraz dopiero dopatrywał tę ogromną różnicę jaką te lat kilka uczyniły na pięknej twarzy przyjaciela jego.

Wszystko w niej zbladło i błękit źrenicy i blask spojrzenia i cera świeżej kiedyś twarzy i nawet ten dawny uśmiech ironiczny, zbladł także pod ciężarem jakiejś obojętności i chłodu.

Bywały chwile kłopotliwego milczenia, po jednej z takich Stefan zapytał nagle.

— Powiedz Jerzy, czemu przypisać, że znajduję państwa w kraju. Dotąd, ile razy pytałem o ciebie, zawsze wymieniano mi różne miejscowości Europy, z wyjątkiem tylko dóbr państwa. Gdy mi więc pan Jan ręczył, że cię tu, w domu zastanę, wierzyć nie chciałem.

— Lecz dobrze żeś uwierzył Stefanie — rzekł Jerzy, uśmiechem twarz ożywiając — boś przyjechał przyjacielu i sprawiłeś mi tem prawdziwą przyjemność.

Chmurnie wciąż zamyślona pani Klotylda, lecz coraz baczniej przyglądająca się Stefanowi i coraz ciekawiej słuchająca jego zajmującej rozmowy, zwróciła się do gościa, a obrzuciwszy znów

męża tem zagadkowem spojrzeniem, zapytała Stefana.

— Czy, gdy panu wymieniono te różne miejscowości Europy, w których mąż mój przebywał, na jedną zwłaszcza szczególną okoliczność, nie zwróciłeś pan uwagi.

— Nie, pani — odparł Stefan, nieprzyjemnie dotknięty dźwiękiem głosu pięknej pani.

— To dziwne, bo mąż mój — mówiła powoli— za cele podróży swoich wybierał zawsze wybrzeża mórz różnych i oceanów.

— Podróżowałeś po morzu Jerzy, nic o tem nie wiedziałem — zawołał mocno zdziwiony Stefan zwracając się nagle do Jerzego.

Z twarzy gospodarza znikł już dawno ten blady pół uśmiech, który ożywił ją przed chwilą i z wyrazem twarzy znów obojętnym, krótkiem — nie — odpowiedział.

— A więc... — pytał zdziwiony Stefan.

— Mąż mój jeździł nad morza ale nie na morza—odpowiedziała za Jerzego pani Klotylda.— Widzisz pan bowiem przed sobą znakomitego i jedynego w kraju naszym konchologa, zbieracza najcenniejszych i najrzadszych konch i muszli i wszelkich okazów tej zajmującej i ciekawej nauki.

Umilkła, Stefan słyszał słowa kobiety wypowiedziane powolnie, cicho i dobitnie, lecz po za dźwiękiem słów tych, coś mu z nich jeszcze ukrytego dźwięczało... niby szyderstwem, niby ironią, może żalem.

Rzucone przytem szybko przenikliwe spojrzenie na lekko w tej chwili zarumienione oblicze gospodyni, na którem drgało coś gniewem czy ironią, którą i w głosie, zdawało mu się że słyszał, upewniało go, że po za tem obojętnem opowiadaniem kryje się coś głębszego.

Milczał, choć czuł koniecznie że coś odpowiedzieć należy, nareszcze uszczęśliwiony myślą, która mu niby natchnienie spłynęła, podnosząc się żywo od herbacianego stołu i kłaniając pani Klotyldzie, zawołał:

— Masz pewno Jerzy te piękne i ciekawe zbiory tutaj, czybyś nie był łaskaw pokazać mi je?

Czy Jerzy odgadł przebieg myśli Stefana i domyślił się przyczyn ciekawości jego?... być może, bo znów uśmiech wdzięczny jakiś i smutny po twarzy mu przepłynął, a podając życzliwie Stefanowi ramię, odrzekł cicho: — chętnie przyjacielu — i wiódł gościa swego krokiem powolnym do lewego pawilonu.

I pani Klotylda się podniosła, patrzyła za niemi, ironiczny wyraz twarzy ustąpił miejsca jakiemuś głębokiemu zamyśleniu, spojrzenie smutne prześlizgnęła po męża postaci i zatrzymała je, na wyniosłej energicznej, swobodnej, pełnej życia i siły postaci Stefana, któren krokiem elastycznym i lekkim szedł obok postępującego ze spuszczoną głową Jerzego: brwi znów jej się ściągnęły, na białe czoło wystąpiła fałda a pierś podniosło westchnienie.

Usłyszała szmer, wszedł siwy sługa na werendę i stanął z boku czekając rozkazów.

Giestem wskazała by już sprzątać ze stołu, na twarz powrócił zwyczajny wyraz wyniosły, zeszła ze wschodów powoli i zniknęła w cienistych szpalerach ogrodu.

Jerzy wprowadził gościa do zajmowanych przez siebie pokoi, tych samych w których go zastał przyjechawszy. Stefan rzucił wokoło uważne spojrzenie i dostrzegł teraz dopiero oszklone pod ścianami szafy, z których świeciły jasnemi barwami, metalowemi blaski, lub białością alabastrów konchy różnorodne.

Chciał pytać, ale Jerzy nie uważający na gościa pytające spojrzenie, poprowadził go ku sofce, usadowił na niej, podał wonne cygaro, sam zapalił drugie i jakby nigdy żadnej konchy nietylko wokoło nich, ale nawet na świecie nie było, zapytał gościa swego.

(*Dokończenie w Dodatku.*)

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Podobno grono naszych uczonych zamierza urządzić w wielkim poście szereg odczytów przeznaczonych dla kobiet, przedmiotem tych prelekcyi mają być popularne wykłady: „O pracy kobiet", „Kobieta w literaturze i sztuce" i t. p. Jakkolwiek prelegenci głównie o kobietach i dla kobiet mówić będą, jednakże i panowie będą mogli słuchać wykładów.

*** Przybył obecnie do Galicyi Karol Pollak, elektrotechnik, spadkobierca po ojcu starej firmy drukarskiej i księgarni w Sanoku. Pan Pollak miał dokonać kilku ważnych wynalazków, niektóre z nich zakupili już Anglicy, a patentowe towarzystwo londyńskie urządziło dla niego osobną pracownię, w której na koszt Towarzystwa odbywa próby i przyrządza modele. Wymieniamy dwa jego wynalazki: prassa pospieszna drukarska, która może drukować jednocześnie dwoma, trzema i czterema kolorami, oraz przyrząd usuwający potrzebę obsługi w centralnej stacyi telefonicznej. Za pomocą tego przyrządu, każdy może sam z kim chce połączyć swój telefon.

Obecnie p. Pollak otrzymał uwolnienie na dwa miesiące dla wypoczynku w kraju i zamierza skorzystać z tego czasu, aby w Galicyi przeprowadzić próby z dwoma wynalazkami odnoszącemi się do kolei żelaznych. Znawcy uznają, że pan Pollak ma przed sobą wielką przyszłość, że jest człowiekiem wyjątkowym, obdarzonym szczególniej talentem wynalazczym. Niektórzy nazywają go już polskim Edisonem.

*** Rocznica odsieczy Wiednia obchodzoną była i w kraju murzynów, jak o tem donosi p. Janikowski, towarzysz Rogozińskiego w wyprawie do Azyi, w liście pisanym do „Kuryera Warszawskiego".

„Dzień 12 września był i tu w miarę możności uroczyście obchodzonym... Pozostawszy sam jeden, zaprosiłem na tę uroczystość czarnych moich sąsiadów. To też rano dnia 12 września przybyli okoliczni królikowie, prywódzca i wszyscy mieszkańcy wyspy. Wytłomaczywszy im znaczenie pamiątki, zawiesiłem na honorowem miejscu portret Sobieskiego otoczony kwiatami. Zgromadzeni z uszanowaniem odkryli głowy, muzykanci uderzyli w „tam tam" i głośny okrzyk „wiwat Sobieski!" po raz pierwszy rozniosło echo po Kameruńskich górach. Zaprosiłem następnie wszystkich na tańce, częstując wódką i sucharami. Rozpoczęły się wesołe pląsy i goście moi najzupełniej zadowolnieni, rozeszli się dopiero wieczorem. Nazwisko króla bohatera pozostało w ich pamięci i teraz jeszcze: gdy wejdą do pokoju, jeden drugiego objaśnia wskazując na portret.

„Nie dostaje stacyi najważniejszych rzeczy, pisze dalej p. L. Janikowski, mianowicie: narzędzi meteorologicznych, barometru, termometru i pluwiometru (deszczomierza) tak niezbędnie nam potrzebnych. Dotkliwie także uczuwać się daje brak zegaru, gdyż okrętowy, w skutku burz i wody, wypowiedział nam posłuszeństwo. Ojciec pana Rogozińskiego przysłał nam dar nader miły, cztery oleodruki Kossaka, przedstawiające bohaterów naszych... Zdobią one ściany skromnego domku polskich podróżników."

*** Na posiedzeniu Towarzystwa medycyny społecznej i hygieny zawodowej w Paryżu, dnia 24 października, sławny okulista, rodak nasz doktor Gałęzowski, wypowiedział ważną rozprawę o wpływie tytuniu na zdrowie w ogólności, na wzrok w szczególności. „Nie przesadzając zgubnego wpływu palenia na zdrowie, mówi uczony doktor, nie ulega przecież wątpliwości, że palenie tytuniu wywołuje często niebezpieczne następstwa. Vallin i Bronardel opisali dokładnie zaburzenia wywołane w organizmie paleniem tytoniu, do nich należą zawroty głowy, astma, bicie serca i inne chorobne objawy organów oddechowych i serca.

Nikotyna zawarta w liściach tytoniu, nadaje takowym własności zupełnie odmienne, od cech właściwych innym roślinom tejże rodziny. Tytuń francuzki i amerykański zawiera 8 do 9% tej trucizny; hawański i turecki zawierają jej zaledwie 2 do 3 procent, na 16 gramów tytoniu, dym zawiera jej 1 decigram. Seé uważa, że nikotyna działa na rdzeń przedłużny, według Claude Bernard'a i Vulpian'a, działa ona także na części ośrodków nerwowych. Wstrzyknięta do oczu, nikotyna sprowadza zwężenie źrenicy, które jest najpierwszym objawem otrucia, a nie dość na tem, wywołując zaburzenia w samych ośrodkach nerwowych i błonie siatkowej oka, jad ten sprowadza niekiedy daleko cięższe objawy. Gałęzowski przekonał się, że ślepota bywa często rezultatem palenia, samego lub połączonego z użyciem mocnych trunków. Na przeszło 18,000 chorych, których zbadał w przeciągu półtora roku, ten rodzaj ślepoty istniał w 150 przypadkach. Zresztą choroba oczu wywiązuje się tylko u osób palących 20 do 80 gramów tytoniu, czyli ośm do 20 cygar dziennie. Pobyt w pokoju przepełnionym dymem tytuniowym, jest równie szkodliwy jak samo palenie.

Uczony doktor przytacza przykłady, dowodzące jak trudnem bywa często odróżnienie ślepoty powstałej skutkiem palenia, od innych jej rodzajów, polegających na głębokich i niebezpiecznych zmianach organicznych. I tak pewien Amerykanin z Gwadelupy został dotknięty ślepotą, ponieważ źrenica była mocno zwężona, więc nie mogąc dostatecznie zbadać oka, doktor miejscowy uznał kataraktę i chciał dokonać operacyi, na którą jednakże pacyent się nie mógł zdecydować. Następnie, przybył do Paryża zasięgnąć rady dra Gałęzowskiego i ten nie znalazłszy organicznych zmian w oku, na podstawie faktu, że chory wypalał 15 — 25 cygar, przypisał ślepotę działaniu nikotyny, jakoż zaprzestanie palenia sprowadziło w ciągu trzech miesięcy zupełne uleczenie. Inny chory wypalający dziennie 8 — 10 cygar, także zaniewidział, kilku doktorów leczyło go bezskutecznie i dopiero przestawszy zupełnie palić, we dwa miesiące wzrok odzyskał.

Podobnych przykładów uczony sprawozdawca przytoczył bardzo wiele.

*** Pośród górali kaukazkich, rządzących się dotąd odwiecznym zwyczajem krwawej zemsty na

zabójcy, praktyczny pieniądz wziął górę nad dramatyczną pomstą śmierci zabitego.

Odtąd zabójstwo będzie mogło być opłacane w miejsce głowy zabójcy. Taki wypadek zaszedł tam przed parą miesiącami. Gmina osądziła zabójcę na wynagrodzenie rodzinie zabitego w kwocie 1,000 rubli, której wręczenia z taką dopełniono ceremonią: Do konia osiodłanego przyczepiono szablę zabitego z lewej strony, z prawej zaś zawieszono kaletę z kwotą zawyrokowaną. Za koniem, prowadzonym na uzdeczce w kierunku kibitki rodziny zabitego, szedł mułła czytając przez całą drogę pochodu koran: za nim postępował zabójca z krewnymi w białych długich koszulach śmiertelnych z szablami na szyi, na znak pokuty i żalu; dalej ojciec zabójcy, znakomitsi mieszkańcy koczowiska, kobiety z rozpuszczonemi włosami, a w końcu tłum ciekawych! Na spotkanie pochodu wyszła matka zabitego, zdjęła najprzód z konia kaletę, przeliczyła summę i o jej zgodności uwiadomiła rodzinę, która też na ten znak wyszła z kibitki i przyłączyła się do pochodu, który razem począł głośno opłakiwać nieboszczyka.

Po opłakaniu, matka zabitego zdjęła szablę z szyi zabójcy i jego towarzyszy, oddała je im do rąk, rozdarła na nich koszule śmiertelne, i ceremonia pogodzenia się zabójcy z rodziną zabitego skończona.

⁂ Trehontelegraf, taką dał nazwę swemu wynalazkowi pewien oficer włoski, nazwiskiem Romano Pistoni, o którym donosi korrespondent rzymski „Timesa" londyńskiego.

Jest to aparat przy pomocy którego pociągi kolejowe, biegnące po jednych i tych samych relsach, mogą w biegu znosić się z sobą, a także i ze stacyami, do których się zbliżają, lub które już minęły.

Korespondent oglądał w Rzymie rysunki tego aparatu, i twierdzi, że jest on tak prostej budowy, że każdy telegrafista obeznany z systemem Corsego, może się nim z łatwością posługiwać. Zastosowanie tego aparatu, zdaniem jego twórcy ma być rozliczne. Tak np. za pomocą niego podróżujący mogą w każdym czasie, nie zatrzymując pociągu, znosić się ze swymi znajomymi lub z miejscami obowiązku. Wypadki nieszczęśliwe, tak częste na kolejach mogą być uprzedzane, np. pociąg wykolejony może przy pomocy aparatu dać znać idącemu za nim o zaszłym wypadku a także zażądać prędkiej pomocy od najbliższych stacyi. Wynalazek ten, jeśli w zastosowaniu wykaże prawdziwość przypisywanych mu zalet, przyniesie niezmierne korzyści, chroniąc rocznie tysiące ludzi od nagłej śmierci lub kalectwa i oszczędzając w wydatkach zarządy kolejowe. Zdaniem wynalazcy aparat ten może wyświadczyć wielkie usługi rządom podczas wojny.

⁂ Korzeń pokrzywy, jako lekarstwo na suchoty płucne, ma być używany z dobrym skutkiem w gubernii nowogrodzkiej między ludem prostym. Donosi o tem poważne czasopismo „Wraczebnyja wiedomosti". Zbierają go wcześnie na wiosnę, jak tylko śnieg roztaje i zanim się liście pokrzywy rozwiną, wtedy bowiem korzeń ma być najsoczystszy: suszą go potem, drobniutko krają i po dwa do trzech razy dziennie palą jak tytoń. Po kilku już dniach suchotnik doznaje ulgi, łatwiej oddycha, przestaje kaszlać, zwolna odzyskuje siły, a po trzech do czterech tygodni zupełnie do zdrowia przychodzi. Wartoby spróbować...

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою, Варшава 12 Декабря 1883 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

KAIN.

Przez

Henryka Rivière.

Przekład z francuzkiego.

CZĘŚĆ DRUGA.

(Dokończenie.)

Zapalił świecznik stojący na jego biórku, i zaniósłszy do gabinetu w którym się ubierał postawił przed lustrem, lecz zaledwie się w niem przejrzał, odskoczył z krzykiem aż na środek pokoju.

Twarz którą tam zobaczył była tak przerażająco straszną, iż sądził że to była tylko halucynacya wzroku. Wrócił więc do zwierciadła krokiem wolnym i niepewnym, gdyż nogi uginały się pod nim, przejrzał się powtórnie i zobaczył znów tęż samą twarz potworną. Cała prawa strona twarzy była nieruchoma i jakby silnie nabrzmiała. Oko krwią zaszłe, nie mogące się już poruszyć ani zamknąć. Czoło przedzielała zmarszczka prosta i głęboka, poprzeczne zmarszczki po lewej stronie czoła, zatrzymywały się nagle przy niej, jakby napotkały jakąś niewzruszoną przeszkodę. Prawa część twarzy zdawała się znacznie mniejszą, i ku niej podnosiły się usta skurczone i wykrzywione do uśmiechu. Twarz Jerzego stała się zupełnie taką jaką była twarz Raula po śmierci.

Jerzy, pewny już teraz że widzi twarz swoją własną, nie doznał jakiejś zabobonnej trwogi, zrozumiał że jest sparaliżowanym. To odkrycie napełniło jego serce głęboką boleścią, ale pozornie zdawał się spokojnym. Powiedział sobie od razu że byłoby dla niego niepodobieństwem żyć z tak potworną twarzą; postanowił tylko przekonać się czy mu nie pozostaje jeszcze jakaś iskierka nadziei. Jednak czując się nadzwyczaj osłabionym, postanowił posilić się pierwej, zanim dojdzie do doktora Martens, posiadającego już wtenczas rozgłośną sławę. Kazał uprzedzić żonę że jest bardzo zajęty, i dla tego, zje obiad u siebie. Zaraz przy pierwszej potrawie przekonał się że szczęki po prawej stronie były zupełnie martwe, ani żuć, ani nawet poruszać się nie mogły. Zjadł śpiesznie obiad i wyszedł.

Dziewiąta dochodziła gdy przybył do doktora Martens'a. Skoro wchodził do jego pokoju, sławny lekarz siedział przy stole założonym papierami i pisał przy lampie pokrytej zasłonką. Tym sposobem twarz Jerzego była z początku w cieniu, lecz w miarę zbliżania się do światła, widział na twarzy doktora wyraz zdumienia i odrazy.

— Ah! jakże straszną ma pan twarz! zawołał nakoniec doktór, zrywając się z krzesła.

— Więc pan mnie nie poznaje? Jestem admirał hrabia Jerzy.

Doktór wziął go za rękę i posadził tak aby światło lampy padało na niego.

— A! rzekł po chwili, sparaliżowanie twarzy, ale szparaliżowanie dziwne, jakiego nie zdarzyło mi się jeszcze widzieć; możnaby sądzić że to twarz człowieka zamordowanego.

Jerzy wstrząsnął się cały.

— Czy mogę wyzdrowieć? zapytał.

— Zanim odpowiem na to pytanie, potrzebuję poznać najdrobniejsze szczegóły twego życia, admirale, potrzebuję wiedzieć co wywołało chorobę.

Wtenczas, z pokorą chorego odkrywającego sw e rany przed doktorem, z którego ust czeka wyroku życia lub śmierci, Jerzy opowiedział szczerze całe swe życie, od chwili poznania Raula aż do dnia dopiero co ubiegłego.

Doktór słuchał go z natężoną uwagą,

— Straszny to opis, rzekł gdy Jerzy przestał mówić, ale nie mniej straszne były twoje cierpienia, admirale. Widzę teraz że paraliż postępował bardzo wolno, i rozwinął się dopiero zupełnie pod wpływem piorunującego wzruszenia.

Długo rozcierał, szczypał, kłuł igiełką twarz Jerzego, chcąc podrażnić skórę, lecz wszelkie usiłowania były daremne.

— Muskuły są już zupełnie pozbawione czucia, martwe, choroba nie da się już usunąć, a w najlepszym razie wyleczenie jej wymagałoby najmniej tyle czasu przez ile się rozwijała.

— W takim razie, twarz moja pozostanie taką jak jest obecnie.

— Tak, niestety! admirale.

— Ha! rzekł zimno Jerzy, już wiem co mi pozostaje czynić.

— Czy jesteś dobrym chrześcijaninem, panie hrabio?

— Dlaczego pytasz mnie o to, doktorze?

— Bo w takim razie mógłbyś usunąć się do la Trappe, i tam znaleźć samotność i pociechę w modlitwie.

— Nie jestem dobrym chrześcijaninem, odpowiedział Jerzy.

— Admirale, trudno udzielać radę takiemu jak ty człowiekowi. Jako doktór byłem obowiązany objawić ci moje zdanie o twej chorobie, ale każdy może się omylić. Paradź się jeszcze innych lekarzy.

— Po co? rzekł spokojnie Jerzy. Wszak nie potrzebuję prosić pana o zachowanie tajemnicy.

Wstał, a doktór Martens odprowadził go aż do drzwi, i tam pochylił prawie z uszanowaniem głowę przed tym człowiekiem tak występnym, ale także tak strasznie ukaranym.

Jerzy wrócił do domu. Porządkował przez kilka godzim swoje papiery, potem nabił pistolety i wsunął do kieszeni surduta. Nie chciał odbierać sobie życia w domu. Następnie chcąc raz jeszcze zobaczyć żonę i syna, udał się do ich pokojów. Hrabina spała; włosy jej przylepiały się gdzieniegdzie do lekko zwilżonego czoła, a po ustach przesuwał się uśmiech. Była szczęśliwą i spokojną we śnie, jak była nią na jawie, podobna do tych pięknych kwiatów które są ozdobą salonów, ale nie posiadają woni.

Jerzy patrzył na nią czas jakiś w milczeniu.

— Gdyby ta kobieta, rzekł nakoniec do siebie, miała mniej dumy a więcej serca, byłaby mnie może uratowała; ale, w każdym razie była moją towarzyszką i kochała mnie o ile kochać mogła.

Złożył pocałunek na jej włosach i przeszedł do pokoju syna. Chłopczyk uśmiechał się także przez sen.

— Jakże on podobny do Raula! rzekł cicho Jerzy. Biedny Raul!..

Gwałtowne łkanie wstrząsnęło mu piersi; dwie wielkie łzy potoczyły się po jego twarzy.

Jedna ręka chłopczyka była zwieszona z łóżka; Jerzy ukląkł i przycisnął do niej swe usta.

— Więc już nigdy nie zobaczę twego miłego uśmiechu, mówił z płaczem ten nieszczęśliwy ojciec; nigdy już nie popieścisz się ze mną, nigdy nie usłyszę twego głosu. Muszę się wyrzec tego wszystkiego aby nie budzić w tobie wstrętu. Mój Boże! Mój Boże! wołał składając ręce, pierwszy to raz myśl moja wznosi się ku Tobie, przebacz że sam pozbawiam się życia... Nie mogę uczynić inaczej; lepiej aby mój syn zapomniał o mnie po kilku dniach smutku, niż gdyby miał zawsze przed oczyma tę moją twarz trupią.

Jerzy wstał.

— Żegnam cię, mój drogi synu!.. rzekł jeszcze.

Nie miał siły odejść. Pocholony nad synem wpatrywał się w niego i okrywał pocałunkami, dopóki chłopczyk nie poruszył się przez sen. Wtenczas uciekł śpiesznie, z obawy aby się nie przebudził i nie zobaczył go przy swem łóżeczku.

Wyszedł z domu około piątej rano, wsiadł do fiakra i kazał się zawieść do Vincennes. Tam zapłacił i odesłał furmana, przed którego wzrokiem ukrył sparaliżowaną połowę twarzy, zasłaniając ją chustką. Następnie zaczął szukać miejsca w którem by mógł najspokojniej doprowadzić do skutku zamiar samobójstwa, i znalazł go na małej łączce pod lasem, nad brzegiem rowu. Był to śliczny poranek jesienny; drzewa wydawały woń świeżą i orzeźwiającą, a słońce przedzierało się przez lekką mgłę unoszącą się nad ziemią. Jerzy siedząc nad brzegiem rowu, przysłuchiwał się świergotaniu ptaków siedzących na drzewach, głosom ludzi i szczekaniu psów w rozbudzających się poblizkich fermach — namyślał się czyby nie odłożyć samobójstwa do jutra, mógłby tym sposobem doczekać nocy i raz jeszcze uściskać syna.

Gdy tak rozmyślał, spostrzegł go drwal przechodzący nie daleko od niego, i zbliżywszy się zapytał która godzina.

Jerzy wyjął zegarek i zwrócił się ku ni emu chcąc mu odpowiedzieć, lecz w tejże chwili drwal krzyknął przestraszony i uciekł o ile mu sił starczyło.

— Ho! ho! rzekł Jerzy, nieszczęście mi się przypomina, jak zawsze gdy chciałem zapomnieć o niem— twarz moja przestraszyła tego biedaka.

Wyjął pistolet i przyłożył jego lufę między korzeniem nosa a kątem prawego oka.

— Tym sposobem, wyrzekł jeszcze, nikt nie zdoła poznać że byłem sparaliżowanym.

Spuścił kurek, huk się rozległ i ciało jego stoczyło się do rowu.

Nazajutrz wszystkie gazety podały wiadomość o jego śmierci, przypisując samobójstwo nagłemu obłąkaniu zmysłów. Niepodobna było przypuścić aby człowiek zajmujący tak świetne stanowisko jak Jerzy, obdarzony wszelkiemi darami fortuny, mógł dobrowolnie pozbawić się życia. Wszystkie bez wyjątku dzienniki wyrażały swój żal i nie szczędziły mu pochwał. Liberalne opłakiwały go jako bohatera z czasów Cesarstwa, monarchiczne, mówiły o jego walkach w Indyach, i korzystając ze sposobności, przypominały łaskawe słowa, wypowiedziane przez króla, gdy mu przedstawiono admirała Jerzego. Umarł jak żył, sławiony i podziwiany przez wszystkich.

Doktór Martens zamyślił się głęboko, przeczytawszy wiadomość o samobójczej śmierci Jerzego, jakkolwiek nie była ona dla niego nieprzewidzianym wypadkiem. Powierzonej mu tajemnicy nie zdradził nigdy: lecz w kilka lat później mówił o paraliżu, w jednym z tych świetnych wykładów które miewał w klinice, wyliczywszy przyczyny moralne które go mogą sprowadzić — jak, nagły przestrach gwałtowne wzruszenie, długie i dotkliwe zmartwienia — opowiedział dzieje życia Jerzego, jako jednego ze swych licznych pacyentów.

— W przytoczonym tu przezemnie wypadku, rzekł uczony profesor do silnie wzruszonych słuchaczy, sparaliżowanie twarzy możnaby nazwać paraliżem wywołanym wyrzutami sumienia.

KONIEC.

SMUTNA DOLA JASKÓŁKI.

NOWELLA SZWEDZKA.

Przez

Daniela Fallstrom.

„Jaskółki już odleciały”, rzekła do mnie moja kuzynka, w pogodny poranek jesienny, spoglądając smutnie na opuszczone gniazdko nad oknem.

Tak, jaskółki odleciały i wrócą dopiero na wiosnę, a przyznaję że i mnie zasmuciły trochę, ulatując gdzieś w dalekie strony.

Najprzód jest to zapowiedzią zbliżającej się zimy, powtóre nie będę już słyszał w moim pokoiku ich wesołego świergotania, uspasabiającego do słodkich marzeń. Bo trzeba wiedzieć że para jaskółek zbudowała sobie gniazdko przy mojem oknie, wychowała w nim dzieci i śpiewała przez całe lato. Zawiązały się więc między nami sąsiedzkie stosunki, a wkrótce żyliśmy w najlepszej przyjaźni

Siadały z ufnością na mojem oknie; opowiadały mi swoje kłopoty domowe i przygody w gorących krajach; uwiadamiały ile mają piskląt w gniazdku, słowem, znałem dokładnie całe ich życie spędzane między niebem i ziemią.

Prócz tego, tu i owdzie dowiedziałem się wielu ciekawych historyj, których bohaterkami były jaskółki, a ponieważ moja kuzynka ubolewała nad tem że tak miłe sąsiadki już się oddaliły, opowiem jej dzieje pewnej jaskółki, dowodzące że i serca ptaszków nie są wolne od cierpień i smutków.

Na dachu starożytnego zamku, przy rynnie zakończonej głową smoka, znajdowało się gniazdo zbudowane mocno i zręcznie. Zamieszkiwała je cała rodzina jaskółek, składająca się z ojca, matki z dwóch córek, tak niepodobnych do siebie iż trudno było uwierzyć że to są dwie siostry.

Starsza, imponująca i dumna, spoglądała pogardliwie na wróble będące ulicznikami i włóczęgami wśród ptasiego społeczeństwa; młodsza przeciwnie, uprzejma, łagodna i miła, cieszyła się przyjaźnią całej skrzydlatej rzeszy. Znalazła zawsze miłe słówko nawet dla najmałomówniejszych, najposępniejszych ptaków, a nie dość na tem, ujarzmiła nawet kota młynarki, tak dalece, że jeżli nazbyt zbliżała się do niego, zamykał oczy aby nie uledz okrutnej pokusie.

Jednak rodzice łajali ją często za tę jej uprzejmość dla wszystkich. Pysznili się tem że pochodzą ze starodawnego rodu, który od wieków i przez niezliczoną liczbę pokoleń gnieździł się na sklepieniu egipskiego pałacu, i nie chcieli aby ich córka żyła w przyjaźni z taką hołotą jak zięby, szczygły i wróble.

— Nie mogę pozwolić na to, mówił ojciec, aby córka moja poniżała się przestając z gminem; powinnaś pamiętać zawsze jakie zajmujesz stanowisko.

— Ależ, odpowiadała młoda jaskółka, wszystkie ptaki są do siebie podobne; wszakże wszystkie mają dziob i skrzydła.

— Tak, odpowiadał poważnie ojciec, ale nie wszystkie mogą posilać się pieczenią z komarów, i mieszkać na wysokich i wspaniałych gmachach. Spojrzyj tylko na skowronka.

Młoda jaskółka pochyliła główkę, i gdyby nie zasłona z czarnych piórek, możnaby dostrzedz że zarumieniła się jak dziewczę, gdy ktoś przy niem wspomni imie ukochanego. Jaskółeczka pokochała pięknego skowronka, który także kochał ją tkliwie.

Jaskółki mają wrodzone usposobienie do marzeń. Skowronki wiodą poetyczne życie; dlatego też nie ma nic dziwnego że serca młodych ptasząt porozumiały się z sobą.

Skowronek mieszkał pod gwiaździstem niebem i śpiewał od świtu do nocy, a piosnki jego były pełne życia i wesołości, czyste jak tchnienie wiosny, radosne jak promienie słońca po deszczu. Nie żądał za swą muzykę pieniędzy i orderów; śpiewał dla rolnika w pocie czoła uprawiającego swą rolę; dla pracowitej gospodyni piorącej bieliznę w strumieniu; dla poety marzącego pod zielonem sklepieniem lasu. A wszyscy rozumieli jego muzykę; rozumiała ją także jego ukochana jaskółka, gdy wraz z nim wznosiła się pod obłoki.

Nadszedł nakoniec dzień w którym postanowił złożyć swoje uszanowanie rodzicom ukochanej, aby oświadczyć się o nią.

Wprawdzie nie bez obawy odważył się na krok tak stanowczy, ale miłość dodawała mu odwagi. Umuskał swe piórka aby nie można było nic zarzucić jego toalecie, i zaczął śpiewać ukryty w wonnej koniczynie, bo nie śmiał jeszcze wzlecić wyżej, nie śmiał usiąść na wierzchołku stuletniego klonu, tuż przy domu znakomitej rodziny, zajmującej tak wysokie stanowisko i mieszkającej pod jednym dachem z największym magnatem w całej okolicy.

Nakoniec, po długiem wahaniu, zaczął znów śpiewać dla dodania sobie odwagi, a śpiew jego był tak dźwięczny i tak donośny, że go słyszano w całej dolinie; potem nagle rozwinął skrzydła, usiadł na brzegu dachu przy mieszkaniu swej lubej, i rozpoczął pieśń nową.

Ojciec jaskółki wysunął z gniazda koniec dziobu i zapytał opryskliwie:

— Czego chcesz.

Skowronek chciał mu odpowiedzieć jedną z tych ślicznych piosnek które tworzy tak łatwo, ale serce jego napełnił niewysłowiony smutek, a z gardziołka wydobywały się tylko żałośne dźwięki. Śpiewał jak nigdy jeszcze, ale też nie znał dotąd cierpień pierwszej miłości.

Na podwórzu słuchał go kogut, zamyślony, stojąc na jednej nodze, a siedząca na sąsiedniem drzewie stara, chuda i złośliwa sroka, odpowiadała wybuchami szyderczego śmiechu na jego smutne westchnienia. Skowronek wyraził nakoniec najgoretsze pragnienia swego serca, i odpowiedziano mu zimnem:— nie.

— Kto ma córkę uposażoną tak szczęśliwie darami losu, mówił dumny ptak, ten nie może zgodzić się na to aby zaślubiła jakiegoś poetę — a ten zarozumiały skowronek był tylko poetą, nie tylko niezdolnym do żadnej pracy, ale nie umiejącym wyrobić sobie jakiej synekury, jak to czynią osoby chcące wieść próżniacze życie. Żył w polu między ziołami, i nie posiadał nawet mieszkania zasługującego na tę nazwę; co zaś do pożywienia, to i wspomnieć o tem nie warto — I taki nędzarz śmiał sięgać po rękę szlachetnie urodzonej jaskółki! Nie! nie! Żegnam!..

Więc jego dźwięczny śpiew rozlegający się nad ziemią i pod błękitnem nieba sklepieniem, nie miał żadnej wartości? Nie masz domu i suto zastawionego stołu — bywaj zdrów!..

Biedny skowronek odleciał daleko, bardzo daleko, aż do małej dolinki zasłoniętej sosnowym lasem. Tam zrozpaczony ukrył się w trawie, marząc o szczęśliwych dniach swej miłości, tak krótkich, nie stety!.. Przypominał sobie chwilę w której zobaczył po raz pierwszy swą ukochaną jaskółkę, przy krzaku obsypanym kwiatami głogu.

Przypominał sobie jej zręczne i pełne wdzięku ruchy, jej miłe szczebiotanie, i jej śliczną zgrabną główkę. Jakże był wtenczas szczęśliwy! a teraz!..

Wyszedł z ukrycia, rozwinął skrzydła, i unosząc się coraz wyżej, wzbił się po nad wierzchołki sosen, i tam śpiewać zaczął, najprzód cicho i smętnie, a potem co raz głośniej i głośniej. Opiewał miłość

prawdziwą, miłość wierną, zawsze młodą, nie zrażającą się żadnemi przeszkodami, silniejszą nawet od śmierci.

W tej właśnie chwili, syn fermiera przechodził ze swą młodą narzeczoną. Zatrzymali się chwilkę, on uścisnął rękę ukochanej, złożył pierwszy pocałunek na jej dziewiczej twarzy, i poszli dalej milczący i zamyśleni; zdawało im się że śpiew skowronka wyrażał ich własne myśli.

W tymże samym czasie, w domu rodziców jaskółeczki panowała niezwykła wrzawa. Uniesiony gniewem ojciec prawił córce kazanie popierane uderzeniami dzioba. Siostra jej drżała z przerażenia, matka płakała.

— Nie chcę, mówił nielitościwy ojciec, aby twoje szaleństwo przedłużało się jeszcze, abyś przynosiła wstyd twej rodzinie. Musisz się wyrzec twych bezrozumnych marzeń. Znalazłem dla ciebie odpowiednią partję; nasz znajomy mieszkający na kościelnej wieży pragnie ożenić się z tobą, i otrzymał moje zezwolenie. Opór i płacz nic nie pomogą — jutro zostaniesz jego żoną.

Stało się jak mówił.

Nadeszła jesień. Suche liście unoszone w powietrze tchnieniem wiatru, są dla nas godłem znikomości rzeczy ziemskich. Obnażone brzozy wyglądają jak skielety; pożółkła trawa nasuwa smutne myśli, a wiatraki zdają się ciągle powtarzać turkotem swych wielkich skrzydeł: Trzeba mieć tyle żyta, tyle żyta, tyle owsa, tyle jęczmienia. W końcu ten jednostajny odgłos staje się uciążliwym.

Ciężkie także było życie młodej jaskółki wydanej przez ojca za mieszkańca dzwonnicy. Nie mogła zapomnieć o swym drogim skowronku, spoglądała smutnie ze swej wieży na pola po nad któremi krążyła wraz z nim, i wraz z nim śpiewała.

Teraz wszystko się skończyło; nie było już skowronka, nie było już jaskółek. Odleciały wszystkie gdy nadeszła pora ich corocznej wędrówki.

Młoda jaskółeczka nie mogła odlecieć wraz z nimi — jakiś bezmyślny myśliwy strzelił do niej i strzaskał jej skrzydło.

Mąż pozostał przy niej przez kilka dni, sądząc że odzyska zdrowie, i rana zagoiła się rzeczywiście, ale jaskółeczka była tak słabą, że zaledwie mogła podlatywać trochę, niepodobna jej było puścić się w daleką podróż, za góry i morza. Mąż pożegnał ją i sam odleciał.

Biedna jaskółka pozostała na wieży sama jedna, opuszczona przez wszystkich.

Smutna i wątła, wychodziła jeszcze niekiedy z domu szukając pożywienia. Krążyła pod mglistem niebem jesiennem koło kościoła lub spuszczała się na cmentarz, a grabarze patrząc na nią mówili do siebie: „To biedactwo już nie długo żyć będzie.”

Mieli słuszność W listopadzie, gdy już wszystkie rośliny pokryły się szronem, jaskółeczka, której głód i zimno odebrały resztę zdrowia, uczuła że zbliża się koniec jej życia. Wtenczas zabrawszy ostatki sił uleciała aż do krzaku głogu, przy którym poznała ukochanego. Tam pod jego gałązkami ubielonemi błyszczącym szronem, zapomniała o przebytych cierpieniach, o samolubstwie męża, o wszystkiem zgoła, i myślała tylko o uroczej wiośnie w której skowronek wyśpiewał jej swą miłość.

Wśród tych słodkich marzeń, wsunęła główkę pod skrzydełko, i w ostatniem westchnieniu wydała ostatnie tchnienie.

W kilka dni później, ten którego tak kochała powracał do niej. Sądząc że odleciała wraz rodziną, pośpieszył za nią, a nie mogąc jej znaleźć w odległych stronach, wracał szukać jej pod północnem niebem rodzinnego kraju.

Skoro już zima przeszła, gdy wiosenne słońce roztopiło śniegi, syn fermiera zobaczył na ziemi pokrytej młodą trawką, pod krzakiem głogu, dwie ptaszyny nieżywe, leżące obok siebie. Podniósł je i spoglądał na nie wzruszony. Przypomniał sobie że gdy po raz pierwszy pocałował narzeczoną, jeden z tych ptaszków, bujając w powietrzu, śpiewał swój śpiew miłości.

KONIEC.

ROSA THEA.

OBRAZEK Z ŻYCIA.

przez

Ewelinę Badowską.

(Dokończenie.)

— Mówiłeś Stefanie, żeś od kilku miesięcy w drodze — powiedz przyjacielu, gdzieś jeździł, coś porabiał od powrotu do kraju — a pytając, uważnie patrzył gościowi w oczy.

— Wiesz już rzecz najważniejszą, Jerzy. Gdym się o losie moim i zatwierdzeniu na dyrektora fabryk w D. upewnił — pojechałem najprzód do pana Jana, w rękach którego spoczywała druga, lepsza losów moich i doli połowa. Zacny starzec marzeniom moim i prośbie żadnej nie postawił przeszkody — a Wanda — ona, chociażby i nadal ciężko jeszcze pracować musiał i stał pomiędzy szarą rzeszą wyrobników, jak mi oddała serce, tak samo podała by mi i rękę, by, jeśli nie pracować ze mną jednakowo, to pracować obok mnie, rękami, głową i sercem.

Umilkł Stefan, a rozpromienione oblicze wspomnieniem ukochanej kobiety zwróciwszy do Jerzego, mówił dalej: Bo ty nie wiesz, przyjacielu, jaka to szlachetna, dzielna, zacna kobieta, zrobiła się z tej wesołej, szczebiocącej trzpiotki, jaką przed kilku laty widziałeś; wtedy była to obiecująca dopiero wiele nieposponlitych przymiotów dziewczynka, a dziś... — i zatrzymał się, jakby nad wyszukaniem wyrazu, któryby dostatecznie wypowiadał te wszystkie doskonałości i przymioty jego ukochanej — a w chwilowej tej zadumie oko jego padło na słuchającego go Jerzego.

Twarz tegoż była dziwnie zmienioną, przetworzoną; obojętność, jaką uważał przy herbacianym stole, a którą ze smutkiem wziął za zwykły już wyraz fizyognomii przyjaciela, gdzieś znikła zupełnie. Oczy miały blask ciepły, usta, uśmiech choć smutny, ale słodki jakiś i dobry.

Ucieszony spostrzeżeniem tem Stefan, ujął z radością rękę Jerzego i rzekł serdecznie: Postępuję jak samolub — mówię ci tylko o sobie i o szczęściu swojem, a o nic z życia twego nie pytam przyjacielu. — Lecz ledwie wymówił te wyrazy, jakże ich pożałował gorzko. Nie wiedział Stefan, że przywołując Jerzego do rzeczywistości, zburzył mary i wspomnienia, które opowiadanie jego wskrzesiło — wspomnienia może drogie, a może nie zagojone rany — bo Jerzy usłyszawszy pytanie szorstko wyrwał dłoń z ręki przyjaciela, zerwał się, spojrzał mu w oczy badawczo i ponuro — a potem się roześmiał takim bolesnym śmiechem że od dźwięku jego Stefanowi pierś się bólem ścisnęła — a głosem co był gorzki, jak ten śmiech poprzedni, rzekł nareszcie.

— Na co to pytać, Stefanie, czyż nie widzisz że mam wszystko co do szczęścia potrzebne. Wszystko — majątek, znaczenie, spokój, zdrowie; wszystko, czego tylko człowiekowi dla duszy i ciała potrzeba. Gdyby mi nawet przyszła fantazya coś kochać, kochać koniecznie, naprzykład dzieci, których nie mam, to patrz i to żądanie mam zaspokojone. — I ukazał na stojące w około szafy oszklone. — Patrz na ubiory moje; mam pełne szafy konch przepysznych! czy to nie rozkosz kochać takie skorupy... w których żyły i pełzały ślimaki!

Uśmiech coraz brzydszy, głos coraz więcej szyderczy wychodził z piersi Jerzego: — Nie zostawię po sobie syna, potomka mego imienia, ale zostawię dla kraju przepyszny zbiór muszli od najzwyczajniejszych do najrzadszych dobrany — a ukazując ręką na półki mówił: — To okaz rzadki bardzo. Murex-Roztruchan biały, — to Buccinium Szkarłatnik, — to Twibo Zawoj prześliczny! i t. d. i t. d. Jestem Stefanie pierwszym w kraju konchologiem jak ci żona moja mówiła, a przedewszystkiem pierwszym prawdziwie dowcipnym w sferze naszej człowiekiem, bo wynalazcą godnego nas zajęcia. Konchologia! zbieranie skorup ślimacznych! czy to nie pyszne — cha! cha! cha! powiedz przyjacielu, no! cóż tak milczysz uparcie, powiedz że przecie, wszak mam racyę.

Stefan milczał przybity, zgnębiony. Szlachetne serce jego bolało go podwójnie; żal mu było przyjaciela, druha niezapomnianych chwil wspólnie przecierpianych i przeżytych, żal zacnego i szlachetnego młodzieńca jakim go pamiętał i kochał — i żal straconego dla społeczeństwa człowieka, sił jego i życia.

Jerzy wciąż chodził gwałtownie po pokoju — w tem nagle stanął przed Stefanem, — a przykładając rękę do czoła zawołał: Wiesz co, druga myśl znakomita, mało tego, genialna! Jak już wyzbieram i wykupię wszystkie gatunki Gasteropodów — zdeterminuję je — na półkach ułożę, podpisami opatrzę i już nie będę miał co robić — zacznę zbierać z wszelkich epok i wszelkich narodów lalki i figurki porcelanowe. Egipskie i indyjskie, chińskie i japońskie, saskie i sewrskie nareszcie; to będzie pyszne! słowo daję, przepyszne! A także myśl wyższa i nowa — ale same tylko lalki i figurki, Stefanie — i znów zaśmiał się głośno. Podniósł się Stefan — podszedł do Jerzego, łagodnie ujął go za rękę, pociągnął ku sobie, a głosem łkającym, braterskim, serdecznym, mówił:

— Wybacz Jerzy, wybacz drogi, to moje nierozważne pytanie, niepotrzebna ciekawość, tak cię rozdrażniła — daruj przyjacielu.

Na więcej słów innych zdobyć się nie mógł. Za-

milkł, pojmował ból jaki szarpał sercem Jerzego, ale nagle, jasna myśl jak promień słoneczny oświeciła tę ciężką zadumę Stefana.

Przyjaciel jego żył, bo cierpiał — żył... a bystry umysł młodzieńca zestawiając w szeregi wszystko co słyszał od innych o życiu Jerzego, i dodając do tego to co tu sam widział i słyszał, a podpisując wszystko summą obecnego wybuchu, z radością spostrzegł że ta summa ogólna, to jeszcze cyfra bardzo duża, majątek wielki jeszcze.

Pojął, że to opowiadanie jego, rozerwało sztucznie w piersiach Jerzego zbudowaną tamę; postanowił więc, mówić więcej, mówić jeszcze.

Powtórzył znów: — wybacz przyjacielu i słuchaj dziejów kiedy pytasz o nie:

— W kilka miesięcy po odjeździe twoim z Wiednia, pojechałem do Szwajcaryi. Witold dał mi miejsce i zajęcie przy sobie — gdyż wiesz może że sam został zamówiony na całe dwa lata, gdy kompanię spotkała katastrofa z niespodziewanym i nieprzewidzianym zalewem.

Po tych dwóch latach powróciliśmy znów oba do Wiednia. Witold wtedy zaręczył się z panią Maryą — która, towarzysząc choremu bardzo panu Janowi i pomagając w pielęgnowaniu go Wandzie, przyjechała z niemi do Wiednia. Pamiętna to epoka w mojem życiu, pokochałem wtedy Wandzię, wyrosłą już na dziewicę; — dziwne koleje przechodziła miłość moja, mówił Stefan, słodko się do tych wspomnień uśmiechając. Wiesz że byłem sierotą — bez rodziny, bez mienia, że nie mam nawet pargaminów szlacheckich — a Wanda, córka znanego w kraju i szanowanego starca, jedynaczka jego ukochana — pani znacznej fortuny — po mieczu i po kądzieli skoligacona z tą całą waszą hierarchią rodową — czy więc miłość moja przyszłość jaką mogła mieć przed sobą? A Wanda taka była dobra i piękna — taka serdeczna i szlachetna, że widywać ją i nie pokochać—chyba niktby nie potrafił. Umysł jej — serce — pod kierunkiem takiej jeszcze jak p. Marya kobiety, rozwijał się cudownie, jak kwiat pod słonecznemi promieniami. Jak minęło te kilka miesięcy opowiedzieć ci nie potrafię: to byłem szczęśliwy, dumny, ufny w siebie, kochający świat i wszystkich w około, to najnieszczęśliwszy z ludzi, bez żadnej ochoty do życia. Dnia jednego, dowiedziałem się niespodziewanie, że doktorzy i chirurdzy orzekli już stanowczo, iż pan Jan bez obawy żadnej może powracać do domu. Świat mi zniknął z przed oczu — po chwili, gdym się upamiętał, oczami poszukałem Wandzi; — spostrzegłem jej spojrzenie z wdzięcznością i ufnością ku mnie zwrócone. Wieczoru tego dowiedziałem się, że moja ukochana jest moją, będzie moją. O! Jerzy jaka to niebiańska chwila, gdy szlachetna, dobra, najdroższa ci kobieta, chyli głowę na ramię twoje, podaje ci dłoń z ufnością, oddaje ci swe serce.

Pan Jan wstrzymał wyjazd o tygodni kilka, by być świadkiem ślubu p. Maryi, która oto prosiła starca serdecznie. Jakże mi było ciężko gdy wszyscy wyjechali! najprzód p. Jan odjechał zabierając ze sobą drogie dziewczę moje — Witoldowie zostali jeszcze tygodni parę. On kończył te nieskończone nigdy regulacye Dunaju, gdyż był związany z towarzystwem które je prowadziło. Widywałem ich codzień — kończąc z niemi po całodziennej pracy—dnia resztę. Któregoś wieczoru, gdyśmy razem poszli na operę i gdy piękność pani Maryi wywoływała w około szmer podziwu, ja siedząc obok niej w loży zacząłem jej się także uważnie przyglądać, bo powiem ci szczerze że przez te miesięcy kilka, oprócz płowych warkoczy i szarych Wandy oczu, nikogo nie widziałem dobrze. Spostrzegłem teraz jednak tę doskonałą piękność żony mego drogiego przyjaciela — patrząc tak na nią, przypomniałem sobie, cośmy kiedyś w czasie wystawy o niej mówili — pamiętasz może Jerzy?

Zapytany nie odpowiedział — siedział z pochyloną głowę mając ją w dłoniach ukrytą.

— Przypomnij sobie Jerzy — było to u ciebie w hotelu — rozbieraliśmy przymioty jej urody, ja dowodziłem że ostatnim, najjaśniejszym słonecznym promieniem, — ozłoci dopiero postać — miłość wielka głęboka — gdy jej w piersi zagości. Patrząc też na nią — taką promienną, taką śliczną, taką wspaniale piękną — z tym wyrazem szczęścia na obliczu który tylko miłość daje — przypomniałem sobie słowa moje.

Ale i ci przyjaciele moi odjechali, p. Maryi pilno było do domu, który od miesięcy tylu opuściła. Byłem teraz u nich a do uwielbienia cześć jeszcze dodać muszę. Miłość i szczęście domowe nie zamknął im serca, na potrzeby i niedolę biednych; nie będę ci o nich więcej opowiadał, bo mi słów zabraknie by dokładnie opisać ci ich życie.

Jedną z wielkich moich radości — jest to, że D. tak niedaleko od majątku pani Maryi — a i Wanda moja mówi, że coś by jej do szczęścia brakowało, gdyby nie mogła widywać swej przyjaciółki—którą często, tuląc się do niej z pieszczotą, zwie „ukochaną mateczką." Gdy się osiedlę i urządzę u siebie... dalsze słowa przerwało wejście siwego sługi, proszącego na kolacyę. Podnieśli się obadwa — ale niechętnie i szli wolno ku drzwiom, a Stefan mówił dalej: — gdy się urządzę, napiszę do ciebie Jerzy, a ty przyjacielu nie odmówisz i przyjedziesz. Pojedziemy razem do pana Jana, któren nawet markotnie wspominał, że ty jeden Jerzy — nie odwiedzasz go wcale, a potem do p. Maryi.

Zbliżali się do oświeconych już okien salonu. Stefan zwrócił się znów do Jerzego i prośbę powtórzył: — przyjedziesz do mnie, potem do nich pojedziemy. Ona się często pyta o ciebie i teraz pytała czy wstąpię do ciebie, wiedząc że jesteś w kraju; — przyjedziesz Jurku, mnie doradzisz jak urządzać nowe gospodarstwo moje i na ich życie popatrzemy obydwa; — znałeś ją tylko w salonie — chcę koniecznie abyś ją poznał w domu, a cześć i miłość naszą dla niej, zrozumiesz wtedy dopiero.

Jerzy na przyrzeczenie wyciągnął dłoń do przyjaciela; wchodzili na wschody werendy — Stefan spojrzał na swego towarzysza i zadziwił cudownej oblicza zmianie; — ciemne w tej chwili źrenice świeciły mu blaskiem młodości, na ustach osiadł dawny uśmiech, który Stefan przed wielu, wielu widywał laty, a twarz całą ożywił wyraz jakiejś spokojnej energii i siły.

— Więc przyjedziesz — dałeś słowo, zawołał uszczęśliwiony Stefan.

— Przyjadę, cicho lecz stanowczo odparł Jerzy. Stefan gorąco uścisnął dłoń przyjaciela. Stary sługa który dawno panów wyprzedził, wyszedł znów na werendę a zniecierpliwiony że stygnie kolacya, chciał o niej przypomnieć i iść szukać pani domu gdy z cieniu ogrodu wychyliła się postać młodej kobiety i wstępowała na schody.

Stefan zwrócił się ku niej i znów zdziwiony jak przed chwilą zmienioną fizyognomią przyjaciela, wpatrywał się w oblicze pięknej pani Klotyldy, takie zimne zawsze a takie inne — piękniejsze, ożywione w tej chwili.

Na bladej zwykle twarzy płonął rumieniec, oczy gorzały, po zfałdowanem czole jak gdyby przeszła burza, a ściśnięte zwykle usta rozwarte teraz były.

Wchodzili razem do oświetlonego salonu — milcząc wszyscy, ale w pół drogi pani Klotylda się zatrzymała — pomyślała coś chwilę a oblewając się purpurowym rumieńcem, lecz patrząc mężowi prosto w oczy, zapytała, głosem dźwięku którego nie słyszał Jerzy dotąd nigdy.

— Kto to jest ta doskonała kobieta, jak się zowie

Więc słyszała ich rozmowę... Czy całą? — bo otwarte były okna mieszkania Jerzego w ogród wychodzące, czy tylko ostatnią część jej, gdy szli ku werendzie... Jerzy słyszał zapytanie, patrzył przed siebie i nie odpowiedział.

Kobieta czekała długą chwilę, a widząc że mąż milczy, ku Stefanowi zwróciła pytające spojrzenie!

Stefan otwierał usta,

Ale Jerzy zrobił ruch nagły — jakby nakazujący przyjacielowi milczenie, a nie patrząc na żonę, ale gdzieś w dal — przed siebie, głosem głębokim, pełnym, jak melodya dźwięcznym, w którym był i ból stłumiony i rozkosz jakaś cicha — rzekł:

Rosa thea...

KONIEC.

glony podpięciem, druga strona jest ułożona dłużej. Tylny bryt upięty podług ryc. 19, u góry złożony w dwa głębokie pukle przypina się na haftki na wierzchu baskiny. Stanik bawetowo ścięty z przodu i z tyłu ozdobiony jest plastronem przypinanym.

N. 22. Przykrycie na poręcz sofy. Patrz r. 8 tudzież r. 20 w N. 51.

Ryc. 20 w N-rze 51 daje w naturalnej wielkości część deseniu wykonanego podług starożytnego weneckiego wzoru; jak to widzimy deseń wyszyty ściegiem sznureczkowym, grubemi nićmi (Königsgarn), a tło całe jest zasnute wyszyciem, wskazanem na ryc. 8. Ten rodzaj starożytnego ściegu sznureczkowego opisywaliśmy w N-rze 17 na ryc. 21; zasnucie tła stanowi także ścieg sznureczkowy zwykły, dawany rzędami ścisłemi tam i napowrót podług ryc. 8. Na kratkę ażurową daną nad obrębem 2 c. szerokim, wyciąga się po 20 nitek rozdzielonych paskiem 10-nitkowym, wiązanie kratek wykonywa się podług ryc. 20.



N. 1. Kapelusz okrągły.



N. 2. Kapotka z rondkiem z piórek.

Opis do N-ru 52.

(Dokończenie.)

N. 19. Suknia z bawetowym stanikiem. Patrz ryc. 18 w N-rze 51.

Odrobiona z ciemnego kaszmiru i adamaszku wełnianego vieil-or; z tego ostatniego dane są na spódnicy patki po 25 cent. szerokie, oszyte z brzegów plisowaniem 9 cent. szerokiem, idącem także u dołu tylnego sukni. Ryc. 18 w N-rze 51 daje wymiar draperyi; jeden bok przedniego bryta jest zaokrą-



N. 3. Ubranie spacerowe z okryciem. Patrz plecy ryc. 4 w N. 51.

N. 4. Suknia z vêtement. Patrz ryc. 5 i 29 w N. 51.

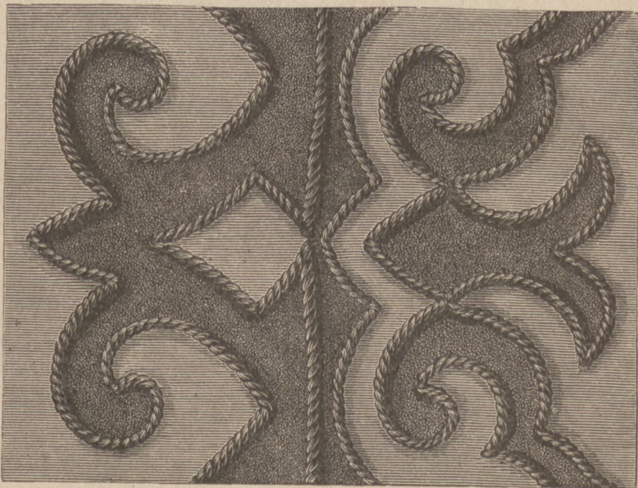
Prócz gładkiego podwleczenia z kolorowej materyi, dana jest u dołu kołnierzyka i mankietów bufka marszczona.

N. 33—35. Szalik. Robota tkacka ręczna.

Liczy 117 cent. długości a 16 szerokości i tkany jest z włóczki angielskiej w sposób opisany w N-rze 48 i 49 Tygodnika Mód. Używając włóczki angielskiej trzeba przy robocie założyć cieńszą listewkę do grzebienia (patrz ryc. 5 w N-rze 48.) Robota będzie ładniej wyglądać jeżeli użyjemy



N. 5. Suknia zdobna szlakami. Patrz ryc. 6 i ryc. 31.



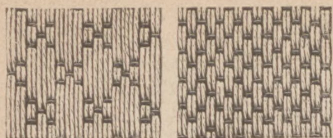
N. 6. Część szlaku do ryc. 5.

N. 27—29. Kołnierzyk i mankiet z koronki irlandzkiej.

Rycina 27 przedstawia w naturalnej wielkości połowę mankieta koronkowego i wskazuje dokładnie rozmaite rodzaje kratek, zapełniających deseń; na kołnierzyk wystarcza koronka w połowie szerokości jak to wskazuje r. 28.



N. 7. Suknia zdobna aksamitem deseniowym. Patrz r. 20, tudzież ryc. 19 w N-rze 51.

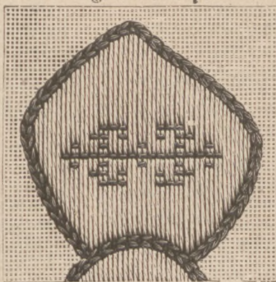


N. 9—10. Wyszycie do ryc. 14.

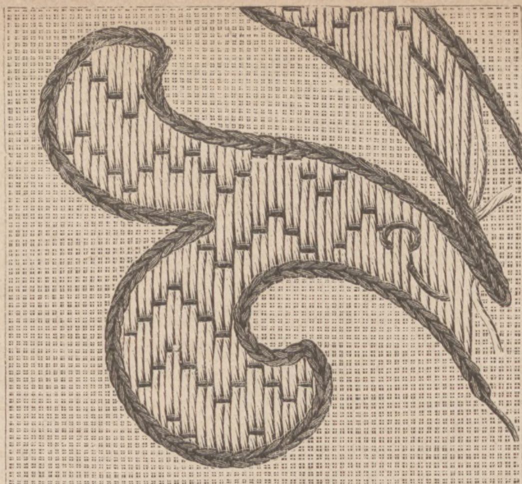
Odpowiednio do tego na jaki cel ma służyć zastosowywa się wielkość i zewnętrzne przyozdobienie pudełka. Model przedstawiony na ryc. 36 liczył 10 cent. wysokości a 50 cent. obwodu; pokrycie może być aksamitne czy jedwabne ozdobione aplikacyą lub haftem jak to wskazują ryciny. Deseń na ścianę boczną daje w połowie r. 35; na tle oliwkowego aksamitu dana aplikacya z żółtawego płótna, przyszyta cienkim złotym sznureczkiem obwodzonym sznelką; niektóre figury deseniu całe zasnute są rzędami ściegu sznureczkowego. Na ryc. 37 daliśmy deseń na wierzch denka, widzimy tu na tle jedwabnem aplikacyę z aksamitu ciemniejszego, otoczoną sznureczkiem złotym lub srebrnym.

włóczki w dwóch cieniach; próbki tła dają r. 34—35.

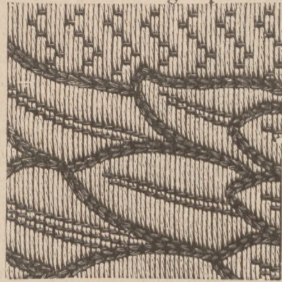
N. 36—38. Pudełko okrągłe na koronki, drobiazgi lub. t. p.



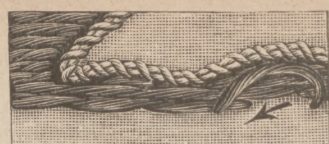
N. 12. Listek do ryc. 14.



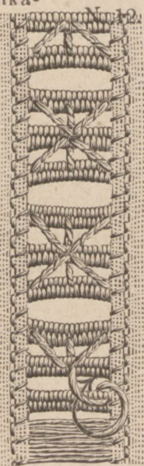
N. 11. Wykonanie wyszycia w deseniu ryc. 14.



N. 13. Część wyszycia skrzydeł ptaka do ryc. 14.



N. 8. Wyszycie pokrywające tło, do ryc. 22.



N. 17. Wiązanie kratki ażurowej do ryc. 14.



N. 14. Serweta. Haft na płótnie patrz ryc. 9—18.



N. 18. Wiązanie kratki ażurowej, do ryc. 14.

N. 39. Ubranie spacerowe dla chłopczyka.

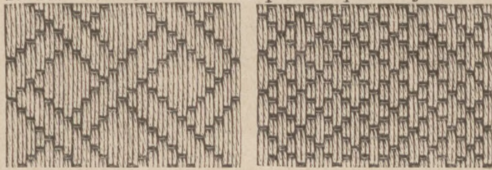
Krój paletocika dopasować trzeba podług formy dołączonej do ryc. 17 w Numerze 19-m Tygodnika Mód; przy formie pleców fig. 29 dodany jest materyał na cztery zastębnowane fałdki, które można zupełnie pominąć. Rozporek u dołu pleców liczy 25 cent. długości; przecięcie na kieszeń górną 11 cent., na boczne 14 cent. szerokości. Paletot był odrobiony z ciemno bronzowego materyału; brzegi objęte taśmą; płaskie rogowe guziczki. Na głowie czapeczka z bronzowego pluszu, z główką owalną 20 cent. długą a 12 szeroką, boki czapeczki z przodu i z tyłu są 9 cent., z boków po 12 cent. wysokie; bronzowy jedwabny sznur i pompony.

N. 40. Ubranie spacerowe dla dziewczynki.

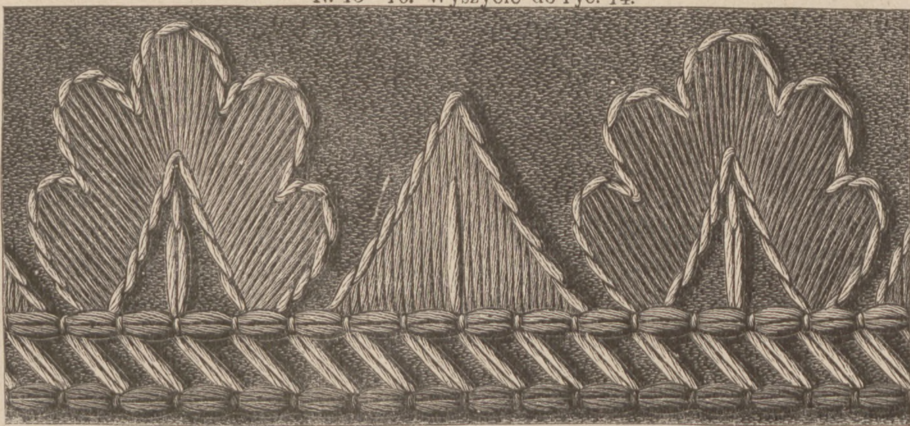
Płaszczyk z pelerynką dopasowywa się podług formy danej przy rycinach 33—34 w Numerze 47. Plecy krają się na 36 cent. długości i dopełniają oddzielną częścią 22 centymetrów długą, 100 centymetrów szeroką złożoną w cztery kontrafałdy. Pelerynka 38 centym. długa, zakłada się z tyłu na środku w dwie po 3 centym. szerokie, 28 centymetrów długie fałdy a na ramionach przemarszcza na 10 cent., podług ryciny 40, na której wskazane jest naszycie pletnią 1 centymetr szeroką. Płaszczyk z granatowego sukienka miał podszewkę z ponsowego kaszmiru, lekko podwatowanego.



N. 19. Suknia z bawetowym stanikiem. Patrz ryc. 18 w N-rze 51.



N. 15—16. Wyszycie do ryc. 14.



N. 21. Szlak do ryc. 27 w N rze 51.

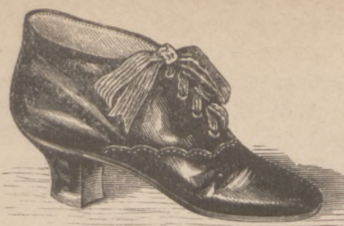


N. 20. Suknia zdobna deseniowym aksamitem. Patrz ryc. 7.

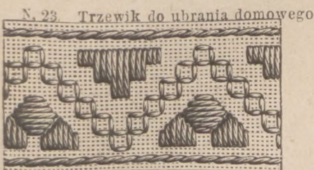
Kapelusz pluszowy zdobny wstążką ottomane 6 cent. szeroką.



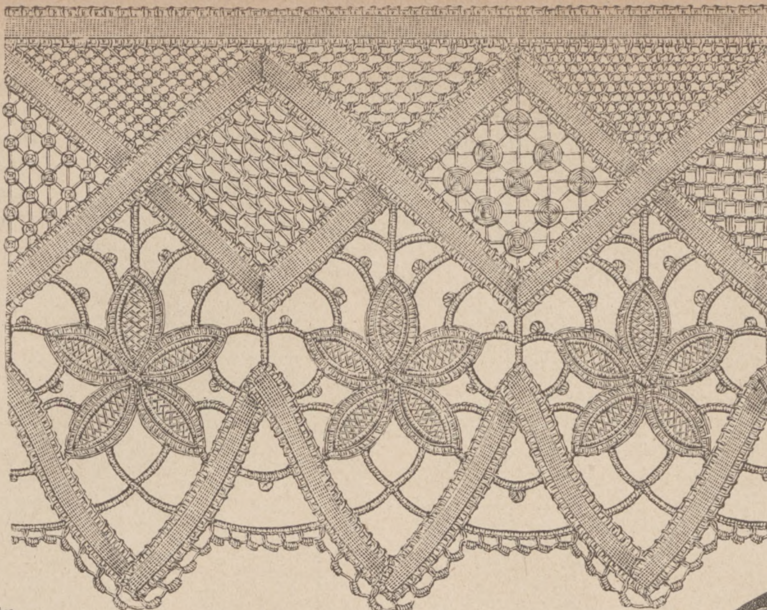
N. 22. Przykrycie na poręcz od sofy. Patrz ryc. 8 tudzież ryc. 20 w N rze 51.



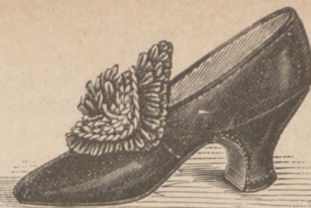
N. 23. Trzewik do ubrania domowego



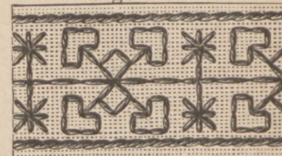
N. 25. Szlaczek.



N. 27. Koronka irlandzka. Patrz ryc. 28—29.



N. 24. Trzewik do ubrania wizytowego



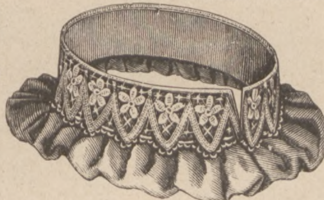
N. 26. Szlaczek.

N. 41. Stanik z przybraniem chusteczkowem.

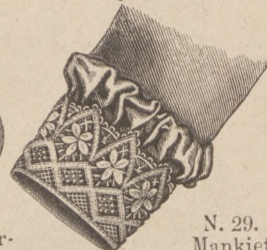
Suknia przybrana była koronką 20 cent. szeroką, odpowiednio temu i na staniku dane chusteczkowe przybranie z koronki, wywodzonej niebieskim jedwabiem na tle z niebieskiego tiulu; podłużny wykrój stanika podłożony bufami z białej illuzyi.



N. 30. Worek na nogi. Patrz r. 14 do 15 w N-rze 51.



N. 28. Kołnierz z koronki irlandzkiej. Patrz ryc. 27 i 29.



N. 29. Mankiet do r. 28.

N. 42 do 45. Ubrania dla młodych panienek.

N. 42. Sukienka z kaftanikowym stanikiem.

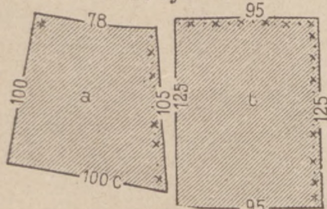
Odrobiona z ciemnego sukienka, ma brzegi spódniczki i tuniki wycięte w ząbki, z pod których wysuwa się skos z materyi kolorowej również wycięty w ząbki. Marszczona bufiasta szmizetka i wykłady przy staniku dane z tej samej materyi.

N. 43. Sukienka z uięciem à paniers.

Składa się z fałdowanej spódniczki i bluzki z materyału wełnianego w kratę; środkiem przedniego bryta założona 10—15 centymetrów szeroka kontrafałda, dolny brzeg sukni zakończa szeroka plisa aksamitna. Upięcie à paniers dane z przodu, z tyłu zaś bryt prosty podpięty w bufę. Bluzka marszczona ma wykrój szyi wszyty w listewkę aksamitną, prócz tego widzimy szeroki okrągły kołnierz aksamitny; rękawy zakończone bufką i podwójną plisą aksamitną.



N. 31. Bok do ryc. 5.



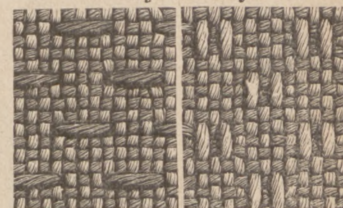
N. 32. Krój draperyi do rycin 5 i 31.



N. 37. Deseń na wierzch do pudełka ryc. 36.



N. 33. Szalik robotą tkacką. Patrz ryc. 34 i 35.



N. 34—35. Prawa i lewa strona roboty tkackiej do ryc. 33.

N. 36. Pudełko okrągłe. Patrz ryc. 37 i 38.



N. 38. Szlak na ściankę boczną pudełka ryc. 36.

N. 44. Sukienka z paskiem Medicis.

Uszyta z materyału wełnianego w kratkę ponsową z białem, przybrana naszyciem z wązkiej aksamitki; trzy równej szerokości falbany, złożone w kontrafałdy zajmują długość spódniczki. Bluzka obciśnięta paskiem aksamitnym Medicis. Kokardy z aksamitki 6 centymetrów szerokiej.



N. 39. Ubranie spacerowe dla chłopczyka.

N. 45. Suknia z fałdowaną spódniczką. Wymiar tuniki patrz ryc. 17 w N-rze 51.

Odrobiona z materyału wełnianego gładkiego i w paski; spódnica cała zaplisowana, z materyału gładkiego, przysłonięta tuniką, którą kraję się podług ryc. 17 w N-rze 51 *a* daje połowę przodu ściśle sfałdowanego z boków, *b* połowę tylnego bryta, sfałdowanego tylko u góry i spadającego aż do dołu sukni, który zakończony jest szerokim pasem drobnych zakładek. Stanik krotko podcięty z boków, z przodu zakończony bawetowo, z tyłu przedłuża się w baskinę frakową, złożoną w kontrafałdy.



N. 41. Stanik z chusteczkowem przybraniem.



N. 40. Ubranie spacerowe dla małej dziewczynki.



N. 42. Sukienka z kaftanikowym stanikiem. N. 43. Sukienka z upięciem á paniers. N. 44. Sukienka z paskiem Medicis. N. 45. Sukienka z fałdowaną spódnicą.